

## CZĘŚĆ DRUGA

### Urlopowe tułaczki

*Smok — to nie tylko cenna skóra, ale i dwa-trzy pudy wysokiej jakości kłów!*

### Metodyka po ziólkach

Topielec płynnie unosił się na maleńkich falach, osiadłszy na drewnie dryfowym na płyciźnie, znajdującej się dziesięć sążni od brzegu.

— Trza wyciągać, — któryś już raz niepewnie powtórzył Gdyń, drapiąc się po płowowłosym czubku głowy.

W koleczudze było bardzo gorąco, ale emerytowany setnik uparcie nosił ją nawet w nużące, letnie południe, ażeby ludzie pochodzący z tej samej wsi, nie zapomnieli, kto w u nich jest głównym wojakiem. Ci i nie zapominali, ale cichaczem się podśmiewali.

— Ano trza, — jak echo powtórzył starosta, wysoki, kościsty mężczyzna, mimo poważnego wieku z czarnymi jak węgiel włosami i brodą. Gdyń z przyzwyczajenia słuchał jednym uchem, rzucając trafne repliki, żeby tylko ten się odczepił.

— I to jak najszybciej, — zmierzał do swego Gdyń, przestępując z nogi na nogę — lepiej na obciosane drewnienko, zastępujące lewą goleń. — Wiatr się zerwie, wtenczas fala go od brzegu odpędzi i fiuuu!

— No i niechaj sobie robi fiuuuu, — cynicznie powiedział basem barczysty dryblas w czerwonej koszuli i powalanych przez obornik spodniach. — Jemu to już bez różnicy, nam on także na nic się nie zda, gdziekolwiek by nie przybił, to tam miejscowi zakopią.

— A ty skąd możesz wiedzieć, że się nie nada? — aż podskoczył setnik, wyszukując wzrokiem aroganta. — Sam myśl co chcesz, a za wszystkich nie mów!

— A oto i ona, łódeczka, na brzegu, — kąśliwie zauważył dryblas. — Siadaj i wiosłuj, mogę Cię i odepchnąć, żebyś prędzej odpłynął!

Gdyń umilkł niechętnie, obawiając się, żeby mu rzeczywiście nie powierzyli tej społecznie pożytecznej pracy.

Dziewięć par oczu kontynuowało pochmurnie zachwycanie się niedostępną

płycizną.

— Nie, nie odpędzi, — autorytatywnie oświadczył kowal, opuszczając obśliniony palec i wycierając go o połę koszuli. — Przeciwnie, jeszcze dalej na drewnie dryftowym zniesie. A dziś dzionek upalny, na wieczór zapaszek się rozejdzie... i wiatr jest w stronę wsi...

Prawdę mówiąc, jakaś podejrzana woń miała miejsce już teraz. Niestety, wyciąganie topielców z naturalnych zbiorników wodnych nie wchodziło w poczet ulubionych zajęć żadnego z obecnych. Tym bardziej z tego konkretnego zbiornika wody — szerokiej rzeki o prozaicznej nazwie Pstrąg. Na brzegach o łagodnym spadku, płynnie przechodzących w zalewane łąki, kołysała się wypłowiała od słońca trawa, gdzieś zieleń się niskie szuwary, po płyciznie, stadkami śmigał narybek, a w górze krążyły meszki. Ale ani jednego kąpiącego się, praczki, rybaka albo przynajmniej chlapiących się przy brzegu gęsi.

Niestety, nawet dziewięciu patrzących osób nie zastąpi tej jednej, co by wyciągnęła trupa. Topielec kontynuował bez troskie opalanie się na płyciznie i ani myślał wiosłować na spotkanie komitetu, nader zmartwionego tą okolicznością.

— A oto wiedźma traktem jedzie, — zauważył ktoś. — Może ją poprosić?

Idea wyciągnięcia trupa cudzymi rękami przypadła wszystkim do gustu. Poszeptawszy między sobą, na pertraktacje posłali starostę w parze z Gdyniem. Pierwszego — właściwie do rozmowy, drugiego — żeby chociaż na krótko się od niego uwolnić (według oficjalnej wersji — dla moralnego wsparcia).

Czarna kobyłka wlokła się noga za nogą i wieśniacy zdążyli wyskoczyć na trakt przed samą jej mordą. Wzajemnej radości ze spotkania nie było: oburzony koń zgrzytnął kłami nie gorzej od wilka, ledwo nie obciachawszy nosa starości. Drzemiąca w siodle wiedźma natychmiast się ocknęła i ze zdumieniem powiodła szarymi, zaspanyi oczyma po mężczyznach.

„Zupełnie młodziutka, — ze zdziwieniem zaznaczył Gdyń. — Pewnie i trzeciego tuzina nie zaczęła. Chociaż kto je, wiedźmy, pojmie — może ziółek swoich się nałykała i od razu o połowę odmłodziła. Ubrana przeciętnie, jak to w podróży, miecz, sądząc po rękojeści, całkiem prosty. Długie, rude włosy niedbale spływały na ramiona, grzywka zapleciona w dwa cienkie warkoczyki, założone za uszy.”

— A to dziś wypadł miły dzionek, Pani wiedźmo, — od pochlebstwa zaczął starosta. — Prawdziwa łaska, czego i Pani z całej duszy życzę. Pani nam z utopielczykiem nie pomoże?

— Kogo topić? — spokojnie zainteresowała się dziewczyna.

Gdyń na wszelki wypadek się cofnął, ale starosta dostrzegł, jak leciutko drżą w uśmiechu kąciki ust, umalowane srebrzystą elfią szminką i już śmieiej kontynuował:

— Akurat już jednego mamy, może raczycie go do brzegu podpędzić?

Wiedźmuszka przymrużyła oczy, przypatrując się zgromadzonym nad rzeką ludziom i obiektowi ich ogólnego zainteresowania. Ze zdziwieniem, ale zgodnie wzruszyła ramionami i w milczeniu ruszyła cugłami.

Kobyłka nie spiesząc się, pobiegła truchtem do brzegu. W odróżnieniu od wiejskich szkap nienawykłych załatwiać formalności na płyciźnie, jej bynajmniej nie peszyło — wręcz przeciwnie, powąchała, oblizała się i pochyliwszy głowę, łapczywie przypadła do wody.

Właścicielka kobyłki pogłaskała ją po kłębie i z niej zsiadła.

— A na co wam on, szanowny?

— Zgodzicie się, — uparcie powtórzył Gdyń, tak jak poprzednio trzymając się w oddaleniu - tak od wiedźmy, jak i od wody.

\* \* \*

W butach driad można było śmiało wejść do wody po kolana, ale nie niebezpiecznie obawiałam się, że zrobiwszy jeszcze jeden krok, wpadnę tam razem z głową. Pstrąg — to płytka, ale zdradliwa rzeka, obfitująca w wiry. Jeden z nich jak raz stykał się z samym brzegiem, rozmyta ciemna plama ostro wyróżniała się na tle ogólnego przejrzystego błękitu i tu i ówdzie prześwitującymi przez wodę pniakami.

Umościwszy się dogodnie nogami na samym skraju brzegu, wyciągnęłam rękę i zrobiłam kolisty ruch dłonią, jakbym nawijała na nią sznur. Trup poruszył się i zaczął powoli spływać z płycizny. Tłum z zachwytu zasapał. Ciekawe co oni z nim będą robić?! Zepchnęli by w bystrzynę — no i skończona sprawa. Czy też się boją, że sąsiedzi mieszkający w dole rzeki, odbiorą splawionego do nich trupa jako osobistą obrazę?

Tymczasem wyżej wymieniony majestatycznie dryfował do brzegu. Opuściłam rękę, usiadłam w kucki i za drugim podejściem, zaczęłam głowę za brzeżek lewego rogu. Podciągnęłam bliżej, złapałam za prawy i przygotowałam się do końcowego szarpnięcia, ale wtedy woda wzburzyła się i topielec prawie całkowicie — z wyjątkiem łba — zniknął w zębatej paszczy, płynnie przechodzącej w czarny śliski tułów. Maleńkie, czerwone, głęboko osadzone oczka wwierały się we mnie nieczułym spojrzeniem.

Okazało się, że od niespodzianki ludzie nie tylko drętwieją, ale i

rozzuchwalają się. Tym bardziej, że paszcza u potwora była zajęta, a łap czy też macek wcale nie dawało się zauważyć.

— Poszła precz, gadzino jedna! — ryknęłam złowieszczo, zapierając się obcasami w piasku.

Potwór zasapał z oburzeniem i mocniej ścisnął szczęki, przegryzłszy cienką szyję u zdobyczy. Po czym, zadowolony zniknął pod wodą, a ja z głową w objęciach, koziółkując, potoczyłam się po ziemi. Plusnąwszy mściwie ogonem, ochlapał mnie wodą aż po czubek głowy, na którym malowniczo zawisło pasmo czarnych, poplątanych wodorostów.

— Co to takiego było?! — oszołomiona wypuściłam powietrze, patrząc na rozchodzące się po wodzie kręgi.

To dziwne, ale wieśniacy ani myśleli oddawać się panice. Na widok stworzenia cofnęli się zaledwie o kilka kroków od wody, żeby nie zostać ochlapanymi razem ze mną i teraz skręcali się ze śmiechu, przyglądając się przemoczonej na wskroś wiedźmie i jej zdobytemu w boju trofeum.

— A tak, żyje w tej zatoce jakieś, — filozoficznie zauważył starosta. Pomyślał i dodał: — Mocno nie napastliwe, tylko nerwowe troszeczkę i czarów nie lubi. Rozmyślnie pewnie spałaszowało, żeby Pani nie przypadło w udziale. Tak więc, ono padliny nie żre i tak w ogóle, to większymi ptakami się trudni...

Straciłam oddech z oburzenia:

— Co, uprzedzić trudno było?!

— A na co tam uprzedzać? — z opóźnieniem zdobył się na odwagę, płowowłosy mężczyzna w kolczudze. — Za dnia ono w wirze przy brzegu siedzi, nikogo nie rusza, jednakże łodzi nie lubi, a wpław — rozbierać się nie ma ochoty, pijawek tu niezliczona ilość. A koziół był znamienity, zdrowiuteńki, szkoda było zostawiać. Patrzysz na niego i myślisz, że może przydał by się...

— Przydał się, mówisz? — podniósłszy się jakoś, z rozdrażnieniem wepchnęłam mu w objęcia czarny, rogaty łeb. — Tak zabieraj sobie na zapasowy! W niczym nie będzie gorszy!

Zawróciwszy się, ostro szarpnęłam za cugle złośliwie szczyrzącą zęby kobyłkę i powlekłam ją w zarośla z wikliny. W ślad za mną poleciały zdławione śmiechy.

\* \* \*

— Nie odjechała, — tajemniczo zawiadomił Gdyń, bez pozwolenia chwytając za uszko drugiego kufla, obficie ociekającego pianą. — W krzaki poszła odzienie wyżymać, a kobyłka, paskudztwo jakieś, stanęła w poprzek

drogi — ani przejść, ani przejechać!

— Która to droga — na Pad czy na Krjukowiec? — naiwnie uściślił karczmarz, nie zapominając zresztą kliknąć kostkami liczydła.

— W krzaki! — Gdyń nabrał z miski garść solonych sucharków i zaczął po jednym wrzucać do ust, jak ziarenka. Czujny karczmarz jeszcze raz kliknął w liczydła. — Powiadają, że każda wiedźma ma z tyłu ma-a-achający się ogonek, ot, popatrzyło by się.

— Tylko kobyłka jego samego za tyłek capnęła, — chichocząc dodał starosta, przypadając do swojego kufelka. Karczmarz tylko westchnął — starostę w wsi szanowano i trochę się go bano. Zresztą, ten nie nadużywał swojej pozycji i chociaż zachodził codziennie, na drugi kufelek nigdy się nie skusił. — Nie ugryzła, raczej, przytrzymała odrobinę. Żebyś sam się z krzykiem nie wyrwał, może i ocaliłbyś spodnie...

— A potem wyszła — tak my i usiedli z wrażenia! — kontynuował nieco zmieszany Gdyń, starając się trzymać prosto plecy. — Odzienie suchutkie, jak gdyby z godzinę na słońcu wisiało, długie włosy nastroszone, ona sama ponura, jak teściowa co o trzeciej godzinie nad ranem, z żeliwnym uchwytem do patelni zięcia ukochanego na progu czeka. „Gdzie tu, — pyta, — karczma jest?” Tak więc my jej na „Smocze legowisko” i skinęli głową. Jeszcze i o twojej karczmie słoweczko szepnęli... chociaż i nie należało, — zasepiwszy się, dodał były setnik, po bezwzględnym kliknięciu cofając rękę od trzeciego kufelka.

Karczmarz flegmatycznie przesunął kosteczkę z powrotem. W „Rybaku i Piwku” i bez wiedzy interes nieźle się kręcił. Prawda, duszny kołosiński<sup>1</sup> upał nieco zmniejszył apetyt bywalcom, za to wzmógł pragnienie. Ażby drogocenny płyn nie wyparował z kufelków jeszcze w czasie drogi na stoły, dwa tygodnie temu karczmarz zaradnie przeniósł swój interes na dół, do przestronnej piwnicy. I chociaż tam czuć było mocno kiszonymi ogórkami, to panował upragniony chłód, a piwo można było nalewać prosto z ogromnej beczki, w której leżakowało od wiosny. Tak, że wdzięczni klienci pili i jednocześnie zawąchivali się, doskonale obchodząc się bez zakąski.

Po stromych stopniach ktoś pewnie stapał w butach driad. Miejscowe modnisie celowo umieszczały na nich głośnie stalowe podkówki, ale gospodyni tej pary wolała nie ściągać na siebie zbytnej uwagi. Ona i tak nie mogła narzekać na jej brak.

— Na lekkie wspomnienie, — wtykając nos w swój kufel, półgłosem stwierdził wcześniej milcząca dryblas w czerwonej koszuli.

— Też mi wiedźma! — z rozczarowaniem chrząknął karczmarz, oglądając

---

<sup>1</sup> Kołosień — drugi letni miesiąc (bielorsk.)

delikatną kobiecą figurę, prześlizgującą się wzdłuż ścianki do odległego stolika. Gdyń, skorzystawszy z chwili nieuwagi, chwycił jeszcze parę sucharków i szybko wepchnął do gęby. — Zdejmuje urok, wiesz za uszy! Co będzie to będzie, pójdę obsłużyć.

Karczmarz, ku wielkiemu niezadowoleniu Gdynia, zebrał na tacę wszystkie napełnione kufle, w środek wetknął sucharki i bez pośpiechu poszedł do nowej klientki, po drodze obchodząc i częstując starych.

\* \* \*

Tak więc dlaczego nie mogę mieć urlopu, jak wszyscy normalni ludzie i nieładzie?! Oczywiście, nikt nie zmusza mnie do pracy od świtu do nocy, ale czy nie warto by było się zbuntować i upatrywszy sobie jakieś sympatyczne miejsce, z zapalem przystąpić do odpoczynku, jak od razu zaczyna się: „Oj, pani wiedzmo, jak już w nasze progi zawitaliście, czy nie posiedzicie nocki w tym wąwozie? Ojej, do tego tam lecznicze powietrze — lepsze, niż na uzdrawiających Okmieńskich Bagnach, jednocześnie i tamtejsze upiory po pokrzywie poganiacie, a to już trzech ludzi zagryźli na śmierć, bezecniki jedne”!

I ja, nie uchylająca się od pracy, bezapelacyjna idiotka, uzdrawiam się - to pokrzywą, to mułem, to najświeższym grobem pośrodku żalnika<sup>2</sup>...

Ponuro podparłam policzek dłonią, oczekując na zamówiony chłodnik na zakwasie<sup>3</sup> — przy takim upale nic innego przez gardło nie przechodziło. Udać się do pustelni, czy co? Tylko i tam nie ma pewności, że nie dotrze do mnie jakiś zaradny wieśniak, przypoehlebnie ugadując „z wilkołakiem odrobinę pomóc, tutaj całkiem obok, tuż tuż, i dwudziestu wiorst nie będzie”... A może powinnam pogodzić się z myślą, że nieosiągalność mojego urlopu konkuruje tylko z takimi anomaliami jak niewidzialność uszu czy niegryzący łokieć, i znowu ruszać na trakt, a wtedy pracodawców jakby wiatr zdmuchnął! Jeszcze i podśmiewają się zza płota: a wiedzma to nie ma innych zajęć niż podróżowanie w taki upał?

Podając na stół, karczmarz nie wytrzymał i pochyliwszy się do mnie, szepnął dławiąc się ze śmiechu:

— Powiadają, że Pani dzisiaj miała znakomity połów?

Tylko pogardliwie prychnęłam. Zapamiętajcie: bezinteresowne czynienie dobrych uczynków jest szkodliwe dla zdrowia. I twierdzą to zupełnie nie dlatego, że jestem taka chciwa i zła, a po prostu dlatego, że z doświadczenia wiem — bezpłatnych przysług ludzie nie cenią. Otóż, jeśli bym zażądała za tego

<sup>2</sup> żalnik – po staropolsku cmentarz

<sup>3</sup> Chłodnika na bazie kwasu chlebowego

ghyrowego kozła chociaż by jedną srebrną monetę, oni by trzy razy pomyśleli, czy potrzebny on im czy też nie!

— Rzeczywiście, — odpowiedziałam powoli i patrząc na chłopca z wiele znaczącym przymrużeniem oka, dodałam: — Mam dzisiaj po prostu zadziwiające szczęście do kozłów!

Ten migiem wytarł z twarzy złośliwy uśmiech i kaszlnąwszy ze zmieszaniem, pośpiesznie wrócił za bar.

Ale spokojnie zjeść mi jednak nie dali. Nie zdążyłam rozmieszać wysepki śmietany, samotnie dryfującej wśród szczypiorku, pietruszki i desperacko pluszczącej się muchy, jak kątem oka uchwyciłam w połowie pustej karczmie jakieś ożywienie i podniosłam głowę.

W kierunku mojego stołu posuwała się znajoma trójca z grona amatorów zdechłych kozłów: opanowany starosta, kędzierzawy chłop typu „barczysty kawał durnia” o kaczkowatym chodzie i z rękami w kieszeniach, i jednonogi płowowłosy facet w kolczudze setnika, ale bez legionowej blaszki. Doszli, ustawili się w rzędzie i poszturchawszy się nawzajem łokciami, pozostawili rozmowę staroście.

— Pani wiedźmo! — Chłop zastanowił się i ściągnął czapkę. — My tego... dziękujemy Pani chcieli powiedzieć. Nie każdy swojak nam by tak chętnie i bezinteresownie pomógł, a Pani, człowiek obcy, nie wzgardziła. A to przy tym, sama do tego blada, chuda i mizerna, że proste serce żal ścisła!

Wyłowiona mucha znowu chlapnęła do miski razem z łyżką. Utkwiłam wzrok w staroście, nie wierząc własnym uszom. Co do bladej i chudej, oczywiście, można się było pospierać, gdyż bez przerwy świecące od traworoda<sup>4</sup> słońce sumiennie zamalowało wszystkie narażone na nie miejsca, a ze swej figury byłam bardziej niż nawet zadowolona. Ale dyskutować z nim w żadnym wypadku nie zamierzałam, zadowolona z schlebiającego współczucia w głosie rozmówcy.

— Otóż my i chcieli Pani zaproponować, — starosta, natchniony moim przychylnym pochrząkiwaniem, ponownie naciągnął czapkę i przysiadł się na sąsiednie krzesło, — pożylibyście u nas we wsi z tydzień, odprężyli się: do lasu na jagody pochodzili, poopalali się, na połów ryb popłynęli — ja jak raz łódeczkę na nowo uszczelnił, korzystajcie kiedy chcecie, mnie nie szkoda. A stołować się możecie tu, ja karczmarzowi słoweczko szepnę, żeby Pani jak bywalcowi liczył.

„A dlaczego by i nie? — przyszło mi do głowy, że to podniosłoby mnie na duchu. Okolica tu malownicza, pogoda doskonała, a łowić ryby od

---

<sup>4</sup> [Traworod — maj.]

dzieciństwa lubię. I ludzie tacy mili, serdeczni — że też troszczą się o całkowicie nieznaną kobietę, i do tego jeszcze wiedźmę!”

— U nas tutaj i wyspa pośrodku rzeki jest, — nie przestawał kusić starosta, — a na niej ruiny pustelni. Powiadają, wcześniej żyli tam dajnowie, którzy odseparowali się w pustelni od doczesnych spraw. Kto na zawsze, a kto tak, na tydzień odetchnąć i z nowymi siłami w tę marność ponownie zanurzyć się. Modlili się po trochu, rybkę łowili, ogródek swój uprawiali, bojowe sztuki studiowali, żeby, znaczy się, nie tylko kadzidłem na diabelskie nasienie pomachać, ale i rękami-nogami słuszość podkreślić. Tak więc i dla miejscowych ludzi, jeśli zaszła potrzeba, odprawiali tam nabożeństwo nad trumną, udzielali ślubów czy to spowiadali. Z chorób położeniem rąk leczyli, a patrząc w oczy — i od niepłodności... Wszystko było by dobrze, gdyby nie załagał się w Wąwozie Mariny — pustkowiu porożytym wądolami, pięć wiorst na północ — smok, a na wyspę do wodopoju latać się przyzwyczaiał. Rudy, potężny, całe podwórze cieniem nakrywał, no i prowadził się przepisowo: wypileś — przekaś! To w jednej wsi owcę połknął, to w drugiej krowie skrzydła przypawił. Chłopi już i pałki na niego przygotowali i wszyscy w żaden sposób do tego Wąwozu wybrać się nie mogli: to sianie, to żniwa, to strach. Ociągali się i ociągali, dopóki smok kozą dajnow się nie pożywił i nad ichnią świątynię przelatując, z góry nie napaskudził. Wtedy już pustelnicy się za niego wzięli; żal tylko, że nie znaleźli wolnej chwili, żeby się nas poradzić, my by im żywo wyjaśnili, dlaczego właśnie na pustkowie maszerować trzeba, a nie czekać, dopóki on do nich przyjść raczy. Tak więc z początku oni pomodlili się za smoka, zażyczyli mu różnych chorób, wewnętrznych i zewnętrznych, ale gad z całej listy tylko kichnął na nich, znalazłszy wolną chwilę. Zobaczyli dajny, że nie pokona smoka święte słowo i dawaj go z łuków zawstydząć! Ten najpierw we wstydzie się upierał, nad wyspą krążył i ogniem pluł, a potem doznał skruchy, jednak zdechł i prosto na pustelnię runął. Czego wcześniej nie spalił, to połamał i swoim odkarmionym ciałem rozgniół na amen. Tak więc pustelnicy zdecydowali, że im łatwiej nową pustelnię wybudować, niż tą spod smoka wydobywać. Tym bardziej, że on nieco większy od kozła był, w ciągu pół godziny go nie zakopiesz, a te lato przykładowie gorące było. Zgarnęli, znaczy dajny, dobytek swój prosty, rozsiedli się po łódeczkach, pobłogosławili wszystkich w pośpiechu z tego brzegu i na wiosła szybciej napparli, dlatego jak nasi chłopacy taką sprawę zobaczyli, również dulkami<sup>5</sup> zaskrzypieli. Do Rusalkowego Nurtu odprowadzili, słowami wszelakimi chcieli pożegnać, a i tak i nie dogonili. Nie na próżno widać, pustelnicy codziennie z rana naokoło

---

<sup>5</sup> dulka - metalowe oparcie dla wiosła. Rodzaj przegubu umieszczonego w nadburciu.



pustelni biegali i po kamieniu dziesięciofuntowym każdą ręką wyciskali... No a smok, wiadoma sprawa, na świeżym powietrzu długo przechowywać się nie chciał i dawaj na znak protestu najbardziej powietrze psuć. Długo, z miesiąc... od tamtej pory naszą wieś Zaduchowieje, — wołają, wcześniej to ją Wędziskiem nazywano... Tak więc ta sprawa to przeszłość, a dziś tam raj nie do opisania! Cisza, nikt nie niepokoi, ptaszki śpiewają, ryby biorą przy brzegu jak wściekle, jednocześnie i smocznych kłów na swój napój nawyrywać będziecie mogli. No to jak? Zostajecie?

Przybrałam taki wyraz twarzy, jakbym się zastanawiała, chociaż najbardziej chciałam z radosnym piskiem rzucić się staroście na szyję i zamasyście wycalować go w oba policzki. Zdarza się, takie szczęście! Upragniona pustelnia i jeszcze na wyspie, z osobliwością w rodzaju smoka!

Z trudem wytrzymawszy chwilkę dla przyzwoitości, uśmiechnęłam się i kiwnęłam:

— Cóż, dziękuję za propozycję — przyjmuję z wdzięcznością!

— Doskonale! — rozpromienił się starosta. — Jednocześnie i sprawdzicie, co tam po nocach tak wyje i huczy, że aż spokoju uczciwym ludziom nie daje!

Jęknęłam i złapałam się rękoma za głowę.

\* \* \*

— Stchórzyła, pewnie, wiedźma, — po długim milczeniu powiedział basem kawał chłopa, z obawą obmacując czubek głowy. Czub już się nie dymił, ale spalenizną jeszcze zalatywało.

— A mleć jęzorem po próżnicy było po co — Starosta podniósł z ziemi z opóźnieniem wyrzuconą z karczmy czapkę. Powoli i dokładnie otrzepał ja z kurzu używając do tego łokcia. — No powiedziałem jej, że w takim razie, to ona nie nadaje się na wiedźmę, ale jednym słowem... a pokazywania, co ona jeszcze, oprócz wyciągania kozła umie, nie poprosiłem!

— Baba, jak z niej kpisz... — smutno przytaknął Gdyń, opierając się łokciami o płot. Na wszelki wypadek — stając po przeciwnej stronie karczmy, żeby móc szybciotko się za nim ukryć przed rozgniewaną wiedźmą.

Przyjaciele postali jeszcze troszeczkę, poplotkowali, z obawą zezując na otwarte szeroko drzwi, ale wrócić do karczmy tak się i nie zdecydowali. Jak zresztą i rozejść się do domów...

\* \* \*

Przekąsiwszy i ochłonąwszy w zimnym półmroku piwnicy, uspokoiłam się i nawet zachichotałam nad pechowymi „współczującymi ludźmi”. Ot cholerniki! Nie można by uczciwie powiedzieć: niby że tak i tak, na środku pobliskiego jezioro ma miejsce jakaś dźwiękowa anomalia, od której chcielibyśmy się uwolnić przy pomocy wynajętego mistrza praktycznej magii, z późniejszą wypłatą mu uzgodnionej sumy. Bo ja nie mam niedobrego zwyczaju „za jednym zamachem” przetrząsać wyjące po nocach wyspy. A mając w pamięci żalosne doświadczenie z wyciągania kozła — tym bardziej. Może tam ktoś po nocach bimber pędzi, a starosta dla żartu zdecydował się napuścić mnie na miejscowych pijaków, żeby wyrzekli się nadużywania napitku?

A przyroda tutaj rzeczywiście wspaniała — naprzeciwno wsi Pstrąg rozlewa się do rozmiarów niedużego jeziora, prawda, płytkiego i mulistego, ale dość okazałego. Na tym brzegu ciemnieje świerkowy bór, zaraz za nim gęste zarośla osławionej wyspy. We wsi jest parę sklepików i jeżeli zatrzymam się w Zaduchowiejach na trzy-cztery dzionki, miejscowy krawiec zdąży uszyć mi nową kurtkę. W taki upał, prawda, nawet myśleć o niej jest wstrętne, ale trzeba. Niedawno obejrzałam starą kurtkę pod światło i, zobaczywszy obficie prześwitujące się przez nią światło, ponownie już nie włożyłam, ofiarowawszy ją dołowi kloaczemu (żebracy oceniliby podobną jałmużnę jak szyderstwo). Lato zaś bywa w Belorii bardzo zdradliwe — teraz upał, a za pół godziny deszcz, tak że bez kurtki w żaden sposób nie można się obejść.

A i ziółka pokończyły się, trzeba popytać, czy nie ma w okolicy zielarza i dokonać zakupów. Niektórych eliksirów nie można długo przechowywać, a kosztują sporo, dlatego robi się je tylko na zamówienie i niekiedy zabiera to nie mniej czasu, niż uszycie kurtki. Oczywiście, jakiś napój mogę sporządzić i sama, ale za skutek, uczciwie przyznaję się, nie rękę. Jak i zielarz nie zaręczy za wynik starcia z upiorem, chociaż oboje dumnie zwiemy się dyplomowanymi magami.

Póki co, moje rzeczy znajdowały się w jednym z pokoików „Smoczego legowiska”, a koń konsekwentnie pałaszował owies w stajni tej wątpliwej instytucji i w rzeczywistości bardziej przypominającą legowisko, niż karczmę — przy czym niedźwiedzia, gdyż za nocleg tam obdzierali ze skóry. Dobrze by było znaleźć tańsze miejsce, czystsze i bardziej zaciszne — powiedzmy, chatkę jakiejś samotnej babki, koniecznie na uboczu i przy samej rzece, żeby bez przeszkód opalać się i kąpać, a do tego i łódkę u kogo wynająć. Ale na wyspę na złość nie popłynę! Znaleźli durnia...

Rozliczywszy się z karczmarzem (który życzliwie mrugnął do mnie porozumiewawczo: widocznie, żulikowate towarzystwo i u niego stało kością w

gardle), z niechęcią pograżyłam się w jeszcze większym upale. Słońce stało w zenicie, wydawało się, że jeżeli zatrzymam się na jednym miejscu, to koszula zacznie dymić. Poprawiwszy kołnierz i z trudem powstrzymawszy się od pokusy rozwiązania sznurowania jeszcze bardziej, powlokłam się wzdłuż ulicy, bezskutecznie wypatrując cienia. Nawet psy nie miały siły mnie obszczekiwać: one z takim zdychającym wyglądem rozłożyły się w pyle koło bramy, że trzeba było je omijać albo przez nie przechodzić. Nieliczni przechodnie krzywili się na mnie jak na nienormalną — sądząc po połyskującym po wierzchu krzyżaku, klindze w pochwie za plecami, która powinna była rozżarzyć się do białości, ale na razie przyjemnie chłodziła łopatki.

Ulica ściśle odtwarzała brzegową linię Pstrąga, płynnie wyginając się to w prawo, to w lewo. Po jednej stronie drogi stały domy, po drugiej — dochodzące do samej wody ogrody warzywne. Niskie grzywki fal atrakcyjnie iskrzyły się w słońcu. Nieprawdopodobną siłą woli zmusiłam się do oderwania spojrzenia od upragnionej rzeki i zaczęłam wypatrywać krawieckiego sklepiku, przelotnie zobaczonego przy wjeździe do wsi. Najpierw uporam się z bieżącymi sprawami, a potem będę mogła się już i wykapać. I woda nagrzeje się do tej pory.

Znużony upałem krawiec nawet nie zaczął się targować i tylko niemrawo machnął ręką, kiedy zaproponowałam o parę kładni mniej. O wiele więcej czasu zajęło zdjęcie miary (nawet niejednym razem wydawało mi się, że krawiec nieraz zasnął z miarką w rękach, pochyliwszy się w celu zmierzenia mojej tali i oparłszy głowę o plecy). Fason wybrałam jak najbardziej prosty, obcisły, z kapturem, poprosiwszy mistrza by rozmieścił srebrne nity na kołnierzu pod szyją, łokciach i na trzech pasach prowadzących od nich do dłoni, żeby chroniły od zbyt blisko podkradających się nieżywych. Nie wszyscy nieżywi obawiali się srebra, ale uderzenie w oko łokciem nabitym kolcami zepsuje apetyt komukolwiek bądź. Krawiec obiecał uporać się z robotą za pięć dni, tak że zapłaciłam zadatek i udałam się szukać sobie bardziej godnego mieszkania.

Niestety, samotne babki z wolną powierzchnią mieszkaniową w żaden sposób się nie trafiały. Doszłam prawie do krańca wsi, dalej droga stromo schodziła w dół, zwiężając się do rozbitej przez owcze kopyta dróżki i zanikając w gęstych zaroślach trzciny, za którymi daleko było widać błękit wody. Ostatni dom okazał się chatką zielarza, o czym informował narysowany na drzwiach znak — liść paproci ze spiczasto-płatkowym kwiatem w środku.

W taki upał wspinać się na wysoki ganek było ponad moje siły (a jeśli gospodarza nie ma w domu, potem jeszcze trzeba i schodzić?! To wprost nie...). Podeszłam do niego z boku, precyzyjnie rękę i delikatnie zapukałam do drzwi.

— Won stąd, — złowrogo i nieuprzejmie odezwał się młody, kobiecy głos.

— Sto razy mówiłam — miłosnymi napojami nie handluję!

Trochę się spieszyłam, tym nie mniej powtórzyłam próbę nawiązania znajomości. Wewnątrz rozległ się stłumiony ryk i drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że gdybym stała na ganku, a nie obok, po prostu zmiotłoby mnie z niego. Zresztą, na progu pojawiło się coś na tyle straszego, że sama poczuwszy nadzwyczajny przyływ rzeźkości, z krzykiem odskoczyłam na dobry sążeń, potknęłam się i klapnęłam na tyłek, nie czując się na siłach oderwać spojrzenia od zaduchowiejskiej zielarki.

A popatrzeć było na co! Niewysoki wzrost miejscowej specjalistki z powodzeniem kompensowały stojące dęba włosy, bardziej przypominające ulepione z brudu sople. Połowę pozbawionej brwi, pokrytej purpurowymi guzami twarzy i upstrzonej kropkami zajmowały ogromne jasno-zielone oczy z ciemną obwódką. Nogi szkarady lśniąc mieniły się sinymi smugami, a pokryte strupami ręce ścisnęły ogromny, zachlapany krwią nóż. Z ubrania na zielarce był tylko stareńki, połatany letni szlafroczek, w talii przepasany paskiem innego koloru.

Zacząłam po cichutku odpelzać w tył, mając nadzieję stoczyć się z góreczki i zawieruszyć się w trzcinie.

Tymczasem gospodyni chatki ze zmieszanym zakasłała, wymacała oczy, odlepiała je, wsunęła do ust i zaczęła chrupać.

— Oj, panienka, wybaczenie, myślałam, że to znowu ci łajdacy... Wolha?!

Z opóźnieniem dotarło do mnie, że to zaledwie plasterki ogórka z wyciętymi w środku dziurkami. Zebrałam w sobie resztki męstwa i wpatrzyłam się w ukazujące się pod warzywami oczy intensywnego piwnego koloru.

— Welka?! O bogowie, co ci się przydarzyło?!

— A niech to leszy, całkiem zapomniałam... Wchodź szybciej, póki jeszcze ktoś nie zobaczył! — zaczęła się śpieszyć zielarka, bojaźliwie rozglądając się wokoło. — Upał, klientów nie ma, tak więc i postanowiłam trochę się odmłodzić. Żadnej alchemii, wszystko wyłącznie naturalne — maseczka z ogórków i malin, białko z jajka, krem z borówki bagiennej... nie chcesz spróbować?

— A walerianki nie masz? — Jakoś utrzymałam się na drżących nogach i poszłam z powrotem na ganek. Welka szczerze spróbowała się zaczerwienić, ale to już nie miało sensu.

— Po prostu, tak przez pół godziny, wysmarowanej, nudno stać, więc, myślę, za ten czas barszcz ugotuję, — ze zmieszanym wyjaśniła, rzucając nóż na stół obok przekrojonych na pół buraków. — Zapaliłam się do pomysłu, a ty stukasz... poczekaj, ja zaraz to wszystko zmyję i przebiorę się!

Welka złapała wiadro z wodą i schowała się za zasłoną. Było słychać, jak w pośpiechu chlapie się i prycha. Tymczasem ja rozglądałam się po niedużej, ale bardzo przytulnej kuchence, na wskroś przesiąkniętej szczypiącym w nos dymem, znajomym mi jeszcze z zajęć praktycznych z zielarstwa. Wzdłuż ścian ciągnęły się liczne półki z rządami różnokalibrowych flakonów, butelek, drewnianych dzbanów i koszałek<sup>6</sup> z brzoźowej kory z gotowymi ziółkami i oddzielnymi ich składnikami. W centrum, na okrągłej kamiennej płycie, stał konieczny trójnóg z niedużym kociołkiem u góry. Z sufitu, wyłącznie w celach reklamowych, zwisała wypchana latająca mysz z rozczapierzonymi skrzydłami.

Odmyta i odmłodzona Welka wreszcie wyszła zza zasłony, w biegu zaplatając warkocz. Zakłęcie błyskawicznego suszenia włosów zawsze wychodziło jej o wiele lepiej niż mi, jak i inna życiowa magia. Już nie wspomnę o nazwach tysięcy roślin, bez wysiłku przez nią zapamiętywanych, a także o ich podstawowych cechach i sposobach wykorzystania, które ja z powodzeniem zapomniałam w ciągu roku od zakończenia Szkoły Magów. Zresztą, każdy swoje — Welka z takim samym szacunkiem spojrzała z ukosa na mój miecz.

Nie widziałyśmy się około dwóch lat, ale moja dawna koleżanka z roku prawie się nie zmieniła — te same gęste kasztanowe kędziory, energiczny uśmiech, pulchniutka figurka mimo wszystkich dietetycznych sztuczek i zdumiewająco równa opalenizna, w której Welka paradowała od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Zielarka przyglądała się mi z nie mniejszym zainteresowaniem i zachwytem:

— Wolha, pięknie wyglądasz! I włosy jakie długie zapuściłaś, tobie dobrze idzie... Jak tu się znalazłaś?

— Zbieram materiał do dysertacji<sup>7</sup>. A ty co w Zaduchowiejach robisz? Nie przydzielili Cię przypadkiem do głównej starmińskiej lecznicy?

— A Ciebie — do królewskiego pałacu, — odburknęła Welka. — Nie mniej prestiżowa i nie bardziej jakościowa instytucja jak się okazało. Prawda, utrzymałam się nie dłużej niż — całe trzy tygodnie. Potem sprzykrzyło mi się wydawać podrabianą wodę jako eliksir na schudnięcie i nakapałam tam środka na przeczyszczenie... efektywność napoju znacznie wzrosła, ale klienci z jakiegoś powodu nie byli zadowoleni i dali mi odprawę. Gdzie się zatrzymałaś? W „Smoczym legowisku”?! No co ty, tam w zeszłym roku, jak jakiś mag będąc gościem, egzorcyzm na pluskwy przeczytał, tak pluskwy kolumną o długości trzech sążni wzdłuż ulicy do lasu maszerowały, a kiedy wyjechał — z powrotem

---

<sup>6</sup> Koszałka to wyraz z gwary może oznaczać koszyczek, kobiałka

<sup>7</sup> <http://pl.wikipedia.org/wiki/Dysertacja>

wróciły! Natychmiast przeprowadzaj się do mnie!

Z przeogromną przyjemnością przyznałam Welce stanowisko miano nieuchwytej samotnej babki i udałam się po rzeczy i konia.

\* \* \*

W asortyment świadczonych przez „Smocze legowisko” usług wchodziły nie tylko pluskwy, ale i „darmowa” kromka chleba (wliczona w koszt zawyżonego potrójnie noclegu), a także właściwy nocleg w jednoosobowym pokoiku zamykającym się od środka, i do tego z rozklekotanymi drzwiami, w które pukać należało ze skrajną ostrożnością. Biedniejsi goście zadowalali się wspólnym pokojem, pokotem układając się na podłodze. Zimą palił się w nim kominek a program rozrywkowy zapewniali przejezdni gęślarze i bajarze, dzieląc się honorarium z gospodarzem.

Teraz ludzi w karczmie było mało — przy takiej pogodzie, nawet w polu pod krzakiem nie zamrznieesz... jeżeli, oczywiście, boisz się tylko mrozu. Za Wąwozem Mariny zaczynały się oficjalne ziemie orków — Wilcze Stepy. Bieda w tym, że same orki o tym nie wiedziały i regularnie przecinały istniejące tylko na mapie granice, bynajmniej nie w turystycznych celach. Sukcesem było, jeżeli z dobroci serca zostawiali ofierze swojego kryminalnie karalnego czynu przynajmniej majtki. Lekkonogie, stepowe wilki, srebrzysto-piaszczystego koloru także okazywały zwiększone zainteresowanie oszczędnym podróżnikiem, którzy zaryzykowali obejście się krzakami. „A żeby ci w Wąwozie Mariny przyszło zanocować!” — w złości mówili miejscowi mieszkańcy i idąc tam paść krowy, śpieszyli się wrócić przed nastaniem ciemności. A co się już działo za samym Padem...

Właściciel karczmy, bardziej dla pozorów szurając po podłodze startą do samego kija miotłą, jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie krasnoluda nieokreślonego wieku i zawodu, obdartego staruszka-pielgrzyma, mieszkańca wsi Krjukowiec, co ze wschodnim brzegiem Wąwozu Marina sąsiaduje, ubogiego handlarza rybą, żującego „darmową” kromkę chleba i jasnowłosego chłopaka, strojącego lutnię. Grubej przekupki z głupekowatą twarzą, na zmianę wydającej ochy „o bogowie!” i „o wszyscy święci!” można było nie liczyć. Wiedźma, która dopiero co rozliczyła się z karczmarzem, z zainteresowaniem zatrzymała się na progu, położywszy na podłodze torby.

—... a jeszcze powiadają, — tym samym tajemniczym tonem kontynuował mieszkaniec wsi, — niby podczas pełni księżyca wyłazi jedna baba ze swojego grobowca i włóczy się po okolicy i jeśli ktoś się jej napatoczy z naprzeciwnika —

ręce rozstawi... — chłop pogładowo zademonstrował szeroką rozpiętość ramion umarlaka, zmusiwszy sąsiadów do uchylenia się, —... obejmie i dawaj środek wygryzać, dopóki jedne buty nie zostaną!

Pokaz był bardzo sugestywny. Całkiem przypadkowo dostała się w niego nie brana pod uwagę przekupka, która zaczęła tak przenikliwie piszczeć i wyrywać się, jak gdyby ją naprawdę próbowali zużytkować jako pożywienie.

—... gryzła jej rączki, gryzła jej nóżki... — barytonem dobrze zaintonował chłopak, akompaniując sobie na lutni.

Przesunąwszy się, opowiadacz pośpiesznie wypuścił „ofiare”, ale od policzka uchylić się nie zdążył.

— A-a... — Krasnolud pogardliwie machnął ręką. — babskie gadanie. Po co po ciemnicy po pustkowiu się szwędac, a obrotną babę o dużych rękach i bliżej znaleźć można, chociażby w domu na piecu...

Towarzystwo roześmiało się głośno.

— Nie odzywaj się, młodzieńcze. — Staruszek statecznie splótł ręce na szczycie kostura. Brodaty krasnolud ze zdziwieniem spojrział na pielgrzyma, ale ten, widoczne, był ślepowy i pomyłki tak i nie dostrzegł. — Przeszedłem z południa i tam mi także opowiadali bajdy o niejakim — niech wybaczą mi damy (staruszek wykonał ceremonialny gest w stronę długowłosego lutnisty) — cmentarnym ghyriszczu), które jakoby zaciągało tych wędrowców, którzy tam zamarudzili, do swojego do grobu i ogryzało do czysta, tak że nikt ich już nigdy więcej nie widział...

Pielgrzym mówił cicho i z wielką powagą, dlatego jego opowiadanie zrobiło większe wrażenie na słuchaczach, niż namacalny pokaz krukjowiczjanina. Zapadła ciężka cisza. Handlarz ugrzązł zębami w chlebie, baba szybko się przeżegnała, krasnolud sceptycznie prychnął, a chłopak, zastanowiwszy się, wycisnął z lutni niski, wyjący dźwięk, zmuszający wszystkich do otrząśnięcia się i rzucenia się z wymysłami na młody talent. Wiedźma złapała torby i wyszła. Gospodarz pogardliwie splunął na tylko co „zamiecioną” podłogę. Czego to ludzie nie wymyślą, jęzorami młóćąc po próżnicy. Śmiechu kupa. Chwała niech będzie bogom, że tutaj, w Zaduchowiejach, całkowity spokój... no prawie.

\* \* \*

Podchodząc do stajni, z przyzwyczajenia nasłuchiwałam, ale wszędzie było cicho. Czy to Smółka tym razem zdecydowała się pobyć spokojnym konikiem i nie uganiała się za pochopnie włączającym do jej boksu stajennym, dopóki ten nie

usiadł okrakiem na belce pod dachem i siedział już tam, bojąc się nie tylko poruszyć, ale i zawołać. Różnił się od pozostałych mieszańców tym, że na nim nie było widać skutków upału — pysk był szczelnie zamknięty, a boki, zdaje się, w ogóle się nie poruszały. Dla żartu zagwizdałam. Pies podniósł tępy pysk z uniesionymi do góry uszami i spojrzał na mnie żółtymi, niemrugającymi ślepiami. Wrogości ani życzliwości w nich nie było, ale z jakiegoś powodu zrobiło mi się dziwnie.

— Ejże, kochanieńki, czyj to pies? — zawołałam jakiegoś tam chłopka, drzemiącego na siedząco w wąskim pasku cienia pod ścianą stajni.

— Który? — Wieśniak leniwie uniósł nasunięty na oczy kapelusz.

— A ten... — ponownie skierowałam wzrok na próg i drgnęłam. Pies zniknął. Na zakurzonej ziemi zostało kilka dużych śladów łap i kilka kłaków krótkiej sierści. — Leszy, gdzież on się podział? Tylko co tu był! No to ładnie, wybaczenie, że przeszkodziłam...

— Nie ma za co, od upału i nie takie rzeczy mogą się przywidzieć, — dobroduszenie zauważył chłop, ponownie skrywając się pod rozległym rondem słomianego kapelusza. — Niedawno widziałem jak krowa po niebie latała! Leżę sobie na polu, co z północnej strony wsi się znajduje, dlatego, że nie dam już rady więcej sikać — u szwagra na pogrzebie winem domowym za jego zdrowie wypijski, uraczyłem się, no i ono mnie odrobinę rozebrało. Słyszę — muczy nie wiadomo skąd. Spoglądam w niebo — leci krasula! Nogami przebiera, jak gdyby naprawdę w powietrzu skakała, a ogonem tego, kierunek wskazuje... I dlaczego to tak, a? Może, omen jakiś?

— Aha, zakąsić trzeba było, — półgłosem mruknęłam wchodząc do stajni.

\* \* \*

Zanim pobierałam rzeczy i przywiązywałam kobyłkę na polance za domem (Smółka z wykrzywioną złośliwie mordą obserwowała w tym czasie skazane na niepowodzenie przedsięwzięcie), Welka zdążyła rozpuścić w kotle jakieś ziółka i teraz w skupieniu mieszała je dębową łopatką, bez przerwy patrząc na wypływające z dna pęcherzyki. Specyfik migotał blado, na skutek czego twarz pochylającej się nad nim zielarki wydawała się trupio-zielona. Odrywanie przyjaciółki od tego odpowiedzialnego zajęcia było bardzo niewskazane, żeby nie przytrafiło się tak, jak na ósmym roku studentom, którzy z bojowym zawołaniem „Ratuj się, kto może!” wypadali z gęsto zadymionej sali wykładowej, pod sufitem której ryczało i głośno biło skrzydłami coś niezaplanowanego.



Tak, że nałożyłam lekkie, z brzozonej kory klapki i wyjęłam z torby ręcznik.

— Wel, na razie schodzę się wykapać.

— Aha, — nie odwracając się, z roztargnieniem przytaknęła przyjaciółka, — tam w trzcinie są położone deski do samego pomostu, ale tuż za nimi dno się urywa, i prawie nie ma płycizny.

— Cudownie. — Dobrze pływam i lubię czuć pod sobą głębokość. — Tutaj wirników lub jeziornic się nie spotyka?

— Nie... chociaż w wirze naprzeciwko placu mieszka jakieś stworzenie, ale ono ludzi nie atakuje i daleko od wiru się nie oddala. Tam źródła z dna tryskają, woda jest zimniejsza i czystsza; z pewnością, to je i przyciąga.

— Widziałam co je przyciąga, — chrząknęłam, zarzucając ręcznik na ramię.

Kładkę znalazłam prawie od razu — kilka skośnie połączonych desek, przybitych do na wpół zatopionych szczątków łodzi. W trzcinie zajeżdżało wilgocią i zgnilizną, nogi ślizgały się na deskach, a życzliwie bzyzące bąki zdradzały zamiar degustacji mojego apetycznie spoconego ciała (ciało kategorycznie się sprzeciwiało, przeklinając i opędzając się).

Rozklekotana kładka przechodziła w szeroki pomost i słońce znowu runęło na mnie z mocą smoczego oddechu. Stąd Pstrąg jeszcze bardziej przypominał jezioro — z lewej i z prawej strony koryto znikało w trzcinach, a do przeciwległego brzegu było nie mniej niż wiorsta. Przez zielonkawą, ale przejrzystą wodę prześwitywały wszystkie kamyczki z głębokiego dna. Przy powierzchni śmigał ławicą narybek, z daleka wydając się jedną ogromną srebrzystą rybą.

Nie miałam więcej sił, żeby się dłużej powstrzymać, w biegu odrzuciłam ręcznik i dodając sobie odwagi okrzykiem, skoczyłam z brzegu pomostu, wywołując chmurę bryzgów wody.

Dno okazało się być niespodziewanie głęboko — głową poszłam pod wodę i dopiero wtedy dotknęłam go nogami. Odbiwszy się od dna i wynurzywszy się prychnąwszy, odrzuciłam włosy z twarzy i popłynęłam naprzód. Pierwsze odczucie chłodu szybko minęło, zmieniając się w upajającą świeżość i zdumiewającą lekkość w całym ciele.

Przez pół godziny, nasiąkając wodą do woli i doszedłszy do wniosku, że życie bezghyrowe jest dobre, przewróciłam się na plecy, rozstawiłam ręce i zaczęłam bezwładnie dryfować z prądem w dół rzeki, rozkoszując się cichym szelestem trzciny i płynnym kołysaniem fal.

Nie zdążyłam przepłynąć tym sposobem, pięćdziesięciu sążni, kiedy w

otaczającą mnie harmonię wdarł się jakiś podejrzany plusk. Refleks więdźmy w mgnieniu oka sprawił, że znalazłam się w pionowej pozycji; usilnie pracując rękami i nogami, szybko rozejrzałam się na wszystkie strony i mój błogostan migiem wyparował.

W moją stronę posuwała się łódź. Dokładniej, próbowała. Trzech wioślarzy, nie wiadomo jakim sposobem zmieściwszy się na jednej ławie, bezskutecznie starało okiełznać dwa wyszczerbione wiosła, to rwące się dać nurka na dno, to unieść łódź w niebiosy.

Lewym posługiwał się Gdyń, prawym — milczący dryblas, a w środku, objąwszy kumpli za ramiona, w takt pieśni podobnej do krzyków w duchu „Nie chodźcie, dziewczki, za mąż!” kołysał się starosta. Za rufą ciągnęła się sieć, a za nią — długi ogon z wodorostów, które zaplątały się oczkach sieci.

W łodzi jedynym zauważalnym wynikiem burzliwej, rybackiej działalności była tylko ogromna butla samogonu, z chlupiącymi na dnie resztkami, zatkana nadgryzionym małosolnym ogórkiem. Butla stała na dziobie łodzi i prawdopodobnie służyła wioślarzom jako przewodnia latarnia morska, gdyż inne nieistotne punkty orientacyjne, w rodzaju brzegu wzgardliwie ignorowali. W sumie i bez tego, nie bardzo wytrzymały stateczek wypisywał po wodnej tafli zawilego precla, posuwając się do przodu wszystkimi stronami na przemian. Ogólny kierunek wyznaczał słaby prąd Pstrąga, który powoli, ale nieustannie porywał łódź z sobą.

— Pa-a-ani wie-e-edźma!!! — Gdyń, nie namyślając się, rzucił wiosło i wstał. Łódka zaskrzypiała i niebezpiecznie przechyliła się na lewy bok, a ponieważ dryblas nadal wiosłował, majestatycznie zakręciła się dookoła własnej osi. — Oj, gdzież ona? Niemożliwe, utopiła się?! (Łódź zrobiła jeszcze jeden obrót.) A! Jak woda?

— Wspaniale, — wycodziłam przez zęby, przechodząc z rozluźniającego pluskania się, na nastawiony na osiągnięcie wytyczonego celu styl pływacki „elfickie ostrze”. Naturalnie, skierowałam się bynajmniej nie do łodzi.

— Dokąd że Pani? — z rozczarowaniem zaczął przeraźliwie lamentować w ślad za mną starosta. — Stąd do wyspy całkiem blisko zostało i stu sążni nie będzie! A tam za pięć-sześć godzin i ściemniać się zacznie!

Ale już wymacałam nogami dno i nie oglądając się za siebie, skryłam się w trzcinie. Kładka została daleko z boku, tak, że na brzeg wyдостаłam się cała podrapana, pogryziona przez meszki i po pas wymazana śmierdzącym mułem. Ogólne mniemanie o życiu i wyjątkowym charakterze pewnych jednostek zmieniło się z „bezghyrowego” na „ghyrowe”.

Jakoś się opłukawszy we wpadającym w jezioro strumyku, krzaczkami,

żeby nie przyciągać niezdrowej uwagi mieszkańców wsi, przedostałam się do domu Welki... i ze zdumienia stanęłam jak wryta koło furtki.

Przed gankiem siedział czarno-rudy pies. Na mój widok z pogardą wypluł na ziemię zapomniany przeze mnie na pomoście ręcznik, wstał i pobiegł truchtem w trzciny, zastępujące czwartą stronę płotu. Niezdecydowanie zagwizdałam, ale bestia nawet uszami nie poruszyła, jak gdyby rozplynęła się w szeleszczących łądygach.

— Co? — wyjrzała przez okno Welka.

— A nic. — Pochyliłam się i podniosłam ręcznik. — Może wiesz, do kogo należy taka potężna, podpalana psina z obciętym u nasady ogonem? Jakby rasowa, ale nigdy takiej rasy nie widziałam.

— Nie wiem. Może należy do kogoś z przyjezdnych? — obojętnym głosem wysunęła przypuszczenie przyjaciółka. — Słuchaj, Wolha, wpadłam na wspaniały pomysł: urządzmy wieczór panieński z okazji naszego spotkania! Znam niedaleko położone cudowne miejsce: ciche, malownicze, chłodnawe, z jeziorem dookoła. Rozpalimy ognisko, upieczemy ziemniaki, pogadamy, no i jednocześnie...

— Welka!!!

Przyjaciółka zacięła się i z konsternacją skupiła na mnie swoją uwagę.

— Powiedz mi, że nie masz na myśli wyspy! — zaczęłam błagać.

— Tak więc... ogólnie to...

— I ty też tam się pchasz? Co wy wszyscy się zmówiliście?! — z oburzeniem krzyknęłam, zraniona w samo serce taką zdradą. — Niczego „jednocześnie” nie będę robić!

— O co Ci chodzi — teraz z kolei obraziła się Welka, nie rozumiejąc, dlaczego tak się wściekam. — Chciałam powiedzieć, że jednocześnie jakiegoś ziółka tam nazbieram... na twoje napoje, między innym!

— Wybacz, — zmieszałam się szczerze. — Miałam dziś ciężki dzień, jestem bardzo zmęczona i nie chcę płynąć na żadną wyspę.

— Niech Ci będzie, — zmiękła przyjaciółka, — urządzimy wieczór panieński w najbliższym lasku, a jutro sama tam pojedę. Chociaż wiosłowanie nie idzie mi najlepiej, a i łódź nie bardzo...

— Poproś kogoś z rybaków, — zaproponowałam. — Słyszałam, że koło wyspy ryby dobrze biorą, znaczy, tam na pewno stawiają i sieci. Rano wysadzą cię na brzeg, a wieczorem przyłyną po połów i zabiorą.

— Miejscowi do wyspy i na pięćdziesiąt sążni się nie zbliżą, — ponuro mruknęła zielarka. — Oni uważają, że wyspa jest przeklęta i po nocach tam jakoby wyje nie mogąca zaznać spokoju dusza smoka...

— A co, rzeczywiście wyje? — zainteresowałam się, źle wspominając skierowane do mnie słowa starosty z „nieopisanym rajem”. Zresztą, w jednym nie skłamał — tam by mi już naprawdę nikt nie przeszkadzał!

— A i owszem, zawyje czasem, — wzruszyła ramionami Welka. — Ale osobiście uważam, że to czyjeś głupie żarty. Po pierwsze, sądząc po głosie, do smoczego ryku nie podobny ani odrobinę. Po drugie, nikt tego widma nigdy nie widział. A co to za widmo, jeżeli ono ani razu nie zatręło spokoju komuś z miejscowych? Ono przecież bez pożywki w postaci emocji, za parę miesięcy samo zdestabilizuje się i rozwieje!

— A do czego to podobne? — nie wytrzymałam, chociaż przysięgåłam sobie nawet palcem nie ruszyć dla spokojnego snu starosty.

— Jakiś dziwny łoskot... czy to szloch, czy to plusk, jak gdyby batem po wodzie smagano. Na wyspie, być może, zachowały się pieczary pustelni, a po jeziorze dźwięk daleko się niesie, rezonuje i bardzo silnie się zniekształca.

— Czyż w okolicy nie ma ani jednego rozgarniętego maga-praktyka? — zauważyłam, wyrażając niezadowolenie. — Za takiego się im podałam?

Welka niespodziewanie roześmiała się:

— A, oto chodzi! Starosta z pomocnikami już i do ciebie podchodził? To dlatego ty taka nerwowa... Widzisz, tu taka historia: tutejsi mieszkańcy do wycia mniej więcej się przyzwyczaili, ale krowy — ani jak nie mogą: nerwowe, chude, mało mleka dają. Dlatego wieśniacy postanowili wreszcie zrzucić się na maga. Zebrali się w karczmie, puścili czapkę w koło i rezultat — dwadzieścia trzy kładnie — uroczyście powierzyli staroście. Ten ucziwie doszedł do wniosku, że trzy kładnie wiosny nie uczynią i zaproponował przepić je za powodzenie zbliżającego się przedsięwzięcia. Ludzie chętnie się zgodzili, wszystkim przypadło w udziale po kufelku, a staroście, jak autorowi genialnego pomysłu, — dwa, po których zaczął przechwalać się: powiada, nie potrzebny nam żaden mag, ja sam tego widma gołymi rękami się pozbędę! Tak więc ludzie i za to wypili. Pięć razy, żeby na pewno. Krótko mówiąc, na ranem w czapce nic nie zostało, oprócz chrapiącego na niej starosty. Kiedy go obudzili i powiadomili o czekającym wyczynie, z jakiegoś powodu nie pobiegł takowego dokonywać i w ogóle pośpiesznie zmienił temat. Tak ta sprawa dotychczas i się przeciąga. Pili przecież wszyscy, a staroście teraz z własnej kieszeni płacić nie mają zamiaru, tak i niesolidnie — obiecywał przecież! Więc on teraz chodzi i szuka ochotników-zapaleńców, ale jakoś nieskutecznie. Tutejsi magowie już się przed nim chowają, a przejezdni otwartym tekstem zawiadamiają, z jakiego miejsca starosta powinien zacząć znajomość ze smokiem...

Zielarka przypadkowo spojrzała na moją prawą rękę i aż się zachłusnęła:

— Wolha!!! Ty co, tego?!

— Nie, to zaręczynowy. Ślub jesienią, a ty będziesz moją starszą druhną i tylko nie wąż się odmówić! Ale, wydaje się, ja rzeczywiście tego...

Welka, gotowa już z przepojonym zachwytem piskiem rzucić się do wypytywania, gratulowania i omawiania przyszłego przedsięwzięcia, odskoczyła i ze zdziwieniem spojrzała na mnie.

— O co chodzi?

— Ślub! Zgroza! Koszmar! — Zerwałam się z miejsca i nerwowo przeszłam się po pokoju. — Mnie i od jednego słowa robi się słabo... To przecież już na zawsze, aż po grób!

— Ale za to jaki! — rozważnie zauważyła Welka.

— Ale ja jeszcze chcę użyć życia!

— Nie rozumiem, czym się tak przejmujesz? — wzruszyła ramionami przyjaciółka. — Zwróć mu pierścień, powiedz, że się rozmyśliłaś i w ogóle że on ci się nigdy nie podobał!

— Ale on mi się podoba!

— No to wychodź za niego za męża!

— Nie chcę!

— Dlaczego?

— Boję się. — Przygryzłam wargę i odwróciłam się w stronę okna.

— Czego?

— Tego, że my się zanadto od siebie różnimy. On — wampir, Władca Dogewy, a ja — zwyczajna ludzka wiedźma w podartej kurtce. On widzi mnie na wskroś, a mi pozostaje tylko zgadywać co on myśli. I w ogóle, za pięćdziesiąt lat zestarzeję się i on mnie przestanie kochać!

— O bogowie... — zajęczała Welka. — Wolha, ty dopiero jesienią skończysz dwadzieścia dwa lata! Jak możesz zgadywać, co zdarzy się za pół wieku? Może ty i tyle nie pożyjesz!

— Wielkie dzięki, aleś mnie i pocieszyła! A moja praca? Od pierwszego roku marzyłam żeby zostać arcymagiem, jak Profesor!

— To nim zostań, kto ci przeszkadza? — nie zrozumiała zielarka.

— Gdzie widziałas męża, który pozwoli żonie jeździć po traktach, w towarzystwie nieznanym upiorów?!

— No, na razie przecież pozwala, — słusznie zauważyła przyjaciółka.

— Otóż właśnie, na razie! A potem on mnie nakryje pokrywką i zadowolony, usiądzie na niej z góry!

— A może, ułoży się obok? — chytrze przymrużyła oczy zielarka. — Wolha, w małżeństwie są i jasne strony! Lepiej pomyśl, jak efektownie będziesz

wyglądać w ślubnej sukni...

— Pogrzebowy całun!

— A weselna uczta?

— Stypa!!

— E-e-e... Pierwsza noc poślubna?

— Uroczyste wniesienie trumny do grobowca i wstęp do eksploatacji!

Zamiast okazać współczucie dla umierającej przyjaciółki, Welka spojrzała na moją męczeńską twarz i zatoczyła się ze śmiechu. Z urazą zacisnęłam wargi.

Propozycję „grobu” otrzymałam jeszcze w zeszłym roku, po powrocie z Arlissa, ale na szybki ślub on z jakiegoś powodu nie nalegał. Także nie napomykałam, woląc obchodzić ten temat z daleka i dopóki Kella nie zapytała prosto z mostu, co my sobie myślimy, sprawa tak i nie ruszyłaby się z martwego punktu. Jakoś niepewnie wymieniliśmy się spojrzeniami i powiedzieliśmy, że nam w ogóle to wszystko jedno. I w taki to sposób zostaliśmy postawieni przed faktem jesiennego ślubu.

Przez tydzień podle uciekałam z Dogewy pod pretekstem zbierania materiałów do dysertacji<sup>8</sup>. Jedna sprawa — dumnie manifestować znajomym złoty pierścień z zawilą pieczęcią i w niedbały sposób nazywać Lena narzeczonym, a całkiem inaczej — tak naprawdę dostać go za męża. Ten przeklęty ślub wyrósł między nami jak mur i jeżeli wcześniej swobodnie wylegiwaliśmy się na jednym łóżku, omawiając sprawy na jutro albo głośno śmiejąc się z czyjegoś żartu, to teraz jakoś dziwnie z ukosa patrzyliśmy na siebie nawzajem, bojąc się spojrzeć sobie w oczy! A cóż to będzie dalej?!

— Wolha, uspokój się. To normalnie, — skończywszy się śmiać, spróbowała pocieszyć mnie przyjaciółka. — Wszystkie panny młode denerwują się przed ślubem. Przede wszystkim, zdecyduj sama — ten to czy nie ten człowiek... tfu, wampir, u boku którego chcesz zgodnie iść przez resztę swojego życia? Czy też już za pół roku będziesz gotowa udusić go poduszką za głośne chrapanie z uchem?

Tylko westchnęłam. Len nie chrapał. A pewne wredne przyzwyczajenia w rodzaju rzucanej gdzie popadnie kurtki, jedzenie w łóżku i uchylanie się od służbowych obowiązków (obecność Władcy i Najwyższej Wiedźmy na cotygodniowych naradach było tylko symboliczna, Starsi Rodu doskonale radzili sobie z bieżącymi sprawami, a o poważnych problemach dowiadywaliśmy się i bez nudnego trzygodzinnego sprawozdania), gorąco popierałam i podzielałam, ku sprawiedliwemu oburzeniu Kelly. Ale mąż... brr! Na wiedźmę się kształciłam, żeby uniknąć tej żalösnej doli! Kto mógł wiedzieć,

---

<sup>8</sup> <http://pl.wikipedia.org/wiki/Dysertacja>

że na mnie wszyscy jednakowo polecą?!

— Niech Ci będzie, — zmieniła temat Welka. — Wchodź i przebieraj się, a ja tymczasem nabieram koszyk wisienek. Dobrze się złożyło, że akurat mam zrobioną wiśniową nalewkę, my ciebie szybko z chandry wyleczymy!

\* \* \*

Batem po wodzie?! Podskoczyłam na łóżku tak, że aż deski się wygięły. Przez parę sekund w oszołomieniu wpatrywałam się w nieprzenikniętą ciemność, próbując zorientować się, na jakim jestem świecie, potem koziołkując, stoczyłam się na podłogę i chwyciwszy leżący pod ręką miecz, rzuciłam się do okna.

To było niepodobne w ogóle do niczego — przenikliwy krzyk, przechodzący w bulgoczące uderzenie, jak gdyby ktoś uniósł jezioro i rzucił z powrotem. I — cichnący, oddalający się świst.

Dźwięczne odgłosy niosły się po rzece i gubiły w szeleście trzciny. Powtarzały się na zmianę ale nie były od tego bardziej zrozumiałe, wręcz przeciwnie, tylko tak samo złowieszcze.

Welka, beztrwosko przesypiała zwykły zaduchowiejski fenomen, obudził ją dopiero brzęk flakonu, niechcący zaczepionego przez mnie łokciem.

— Wolha, co tam robisz?

— Psy, Wel. — Stałam z boku uchylonego okna, żeby na wszelki wypadek móc na odlew dźgnąć nieproszonego gościa, który zlekceważył drzwi. — Słyszysz? W całej wsi psy wyją.

— No i co z tego? — sennie mruknęła zielarka. — One często hałas podnoszą, ledwo gdzieś coś stuknie — nakrywaj głowę poduszką...

— Na zwykłe stukanie po prostu by ujadają. Psy wyją na nieżywych, Welka.

Przyjaciółka podeszła do okna, troszeczkę posłuchała i ziewnąwszy, sennie oparła się o moje ramię.

— Wolha, masz skrzywienie zawodowe. Idź spać, tu nie ma żadnego nieżywego. Dzisiaj pełnia księżyca, psy po prostu skorzystały z okazji, żeby potrenować gardła.

Nie odpowiedziałam. Psie głosy brzmiały ochryple i były przytłumione, jak gdyby wyły ze środka swoich bud, albo spod ganków, skąd nie mogły patrzeć z upodobaniem na księżyc. Ostrożnie wyciągnąwszy miecz z pochwy, popchnęłam okienne skrzydło ostrym koniuszkiem. Te chętnie zakołysało się w przód i w tył, i przez chwilę przywidziały mi się żółte, niemrugające oczy w trzcinie, wyglądającej jak czarna, grzywiasta ściana kołysząca się naprzeciw

chatki. Ten pies nie wył. W ogóle dotąd nie słyszałam, aby wydał z siebie choć jeden dźwięk.

— Co robisz? Oj... — Welka otworzyła oczy i zobaczyła przed swoim nosem blado połyskujące ostrze.

— Stawiam ochronny krąg. — Podniósłszy miecz ostrzem go góry, wolną ręką nakreśliła parę znaków.

— Nie wygłupiaj się idiotko! — Przyjaciółka próbowała chwycić mnie za łokieć i odciągnąć od okna, ale wyrwałam się z rozdrażnieniem.

— Wel, przecież ja nie pluję do twoich ziółek? Więc i ty mi nie przeszkadzaj pracować!

Przyjaciółka machnęła ręką i wróciła do łóżka. Psy także stopniowo się uspokajały. Co by tam nie było, obeszło wieś bokiem, w przeciwnym razie w jednym jej końcu byłaby martwa cisza, a w drugim — zespołowy atak psiej hysterii. W odróżnieniu od wilków, psy panicznie bały się nocnych stworzeń i wyły na nie już z daleka.

Cichutko uchyliwszy drzwi, wyszłam na podwórze i przysiadłam na ganeczku, położywszy miecz na kolanach. Bardziej dla oczyszczenia sumienia puściłam parę zwiadowczych impulsów i ze zmieszaniem zakaszlałam, ujawniwszy, że w sąsiedzkim sadzie, niektórzy wyśmienicie obchodzą się bez Welkowych miłosnych napojów.

Niech będzie, posiedzę, poddycham świeżym powietrzem. Urlop bądź co bądź.

I doczekałam się — przed samym świtem wszystko się powtórzyło, ale w odwrotnej kolejności. Najpierw, niewiadomo od czego, podniosły lament psy, potem znowu ryknęło i huknęło, puściwszy echo po wodzie. Miecz rozgrzał się odczuwalnie, a znak cechowy u nasady ostrza zamigotał i powoli zgasł.

Na miejscu starosty nie oszczędzałabym na magach.

\* \* \*

Zasnąć byłam w stanie dopiero o wschodzie słońca, kiedy w zaduchowiejskich kurnikach po kolei zaczęły pisać koguty, zerwało się na codzienne oblatywanie krzykliwe stado gawronów, a na ulicy zaskrzypiały koła od wozu. I już za dwie godziny obudził mnie aktywowany krąg ochronny i bardzo barwne wypowiedzi Welki z jego powodu (wydaje się, że przesadziłam w swej gorliwości — zrobiłam go dwustronnym i na dodatek zamknęłam na sobie, tak że zielarka trochę dymiała i paliła pragnieniem zemsty).

Bitwa dwóch magów, będących mniej więcej na tym samym poziomie —



to atrakcyjne widowisko, i kiedy my, wyczerpawszy rezerwę, zremisowałyśmy, rozłożywszy jedna drugą na trawie, zza płota rozległy się burzliwe oklaski i nawet rzucono na podwórze parę drobnych, srebrnych monet. Zawstydzona Welka ukryła się w domu, a ja spokojnie pozbierałam monety. Gdyby zielarka była śmielsza, mogła by żądać takiej ceny, jakiej żądają magowie-praktycy — często razem trenowałyśmy, a czasem po prostu upuszczaliśmy pary, z siłą jednej czwartej mocy zarzucając serdeczną przeciwniczkę bojowymi zaklęciami. Niestety, po jednym spojrzeniu na coś zębatego i pazurzastego — sięgającego Welce tylko do kolana i wydającego ostatnie tchnienie, — wszystkie jej praktyczne nawyki wyparowały w nieznanym kierunku, zostawały tylko te piszczące i uciekające.

Wśród gapiów znaleźli się klienci Welki, dziewczyna przyjęła parę zamówień i znowu zajęła się gotowaniem ziół. Gryzący smród wypędził mnie z domu i spędziłam dzień, wylegając się na trawce przy rzece, popijając kwas chlebowy, delectując się zakupionym na rynku wędzonym linem i doprowadzając do porządku swoje zapiski, na daną chwilę bardziej wyglądające na zbiór humorystycznych bajd, niż na rozprawę naukową. Kiedy słoneczne promienie przybrały przyjemny, pomarańczowy odcień i upał zaczął się zmniejszać, odszukała mnie Welka.

— Oto. — Przyjaciółka wygodniej ułożyła na ramieniu dwa długie wiosła i oswobodziwszy prawą rękę, nakreśliła w powietrzu świecący, szybko zanikający znak. — Podstawowa runa na zaklęcie wejściowych drzwi. Za parę godzin wrócę, przygotuj sobie sama coś na kolację, dobrze? Dla mnie możesz nie zostawiać, ja po wczorajszym jestem na diecie.

Osobiście ja „po wczorajszym” po kryjomu zjadłam długo przeleżaną bez użytku w torbie przylepkę, dlatego że pięć pieczonych ziemniaków na dwie osoby, nawet z dodatkiem w postaci trzech listków sałaty, mój żołądek ocenił jako kpinę i żałośnie podniósł krzyk o przedłużenie bankietu. Ale dyskusowanie na ten temat z Welką było bez sensu.

— Zgoda. A ty dokąd?

— Na wyspę.

— Poczekaj. — Zaczęłam w pośpiechu wpychać pergaminy do torby. — Płynę z tobą.

— Cóż starosta się ucieszy! — uszczypliwie przypomniała zielarka.

— Nie doczeka się, nawet z łodzi wysiadać nie będę. Po prostu popilnuję, żeby ci się nic nie przytrafiło.

— Wo-o-olha... — z wyrzutem wypuściła powietrze z płuc przyjaciółka. — Ty znowu swoje? Myślisz, jeżeli tu żyłoby coś niebezpiecznego, to już dawno

ludzie by tego nie zauważyli? Kilkakrotnie już tam jeździłam!

— Kilkakrotnie? — Podejrzliwie spojrzałam na zielarkę. — I co?

— I nic. Chodziłam wzdłuż brzegu, wypchałam torbę ziołami i odpłynęłam. I teraz zamierzam zrobić tak samo. Ty jesteś przecież na urlopie, nie zwracaj sobie głowy, opalaj się dalej.

— Poopalam się w łodzi. — Na jedno ramię zarzuciłam pasek od torby, na drugie — pas od pochwy.

Sądząc po zadowolonej fizjonomii przyjaciółki, odradzała mi po prostu dla przyzwoitości, potajemnie mając nadzieję, że dotrzymam jej towarzystwa. I bardziej ryzykować odciągając mnie — nie zamierzała.

\* \* \*

Łódź Welki tkwiła w trzcinach koło starej kładki. Nic dziwnego, że wczoraj jej nie zauważyłam — można się było w niej kapać, a nie opalać się. W połowie wypełniona wodą, praktycznie leżała na dnie. Łańcuch z wiszącym zamkiem bardziej nie dawał jej ostatecznie utonąć, niż chronił przed uprowadzeniem. Zresztą, dno wydawało się całe i zanim moja przyjaciółka uporała się z kluczami, położyłam swoje manatki na pomoście, podwinęłam rękawy i skoncentrowałam się na formule szybkiego osuszenia.

— Wolha, nie! — przypadkowo obejrzawszy się, tak rozdzierająco zaczęła krzyżeć Welka, że straciłam równowagę i nader wiarygodnie przedstawiwszy rękami wiatrak, runęłam na płask z pomostu. — Nie waż się czarować koło łodzi! Zamówiłam ją, ale zaklęcie jest bardzo niestabilne i rozsypuje się od najmniejszego muśnięcia obcej magii. Weź ten czerpak spod ławki i zacznij wylewać wodę.

— Ty byś jeszcze w trąbę nad moim uchem zadęła, — zaburczałam, włączając do podwodnego statku. Oczywiście, dodatkowe mycie przy takiej spiekocie nie zaszkodzi, ale nie zaszkodziłoby wcześniej chociażby zdjąć buty.

Po dziesięciu minutach połączonych wysiłków, łódź wynurzyła się i z jawną niechęcią wyraziła chęć do startu, z własnej inicjatywy ustawivszy się przodem do otwartej wody. Za wiosła wypadło zabrać się mi — wynik wysiłków Welki mało różnił się od zygzakowatego dryfu niezapomnianej trójki.

— A od czego ją zamówiłaś, jeżeli to nie tajemnica?

Zielarka ze zmieszaniem podrapała się w nos:

— Od przeciekania. Gdybyś ją widziała wcześniej!

Zabrakło mi słów.

\* \* \*

W czasie drogi Welce czasem wypadło zabierać się do za czerpak, ale ogólnie, wszystko okazało się nie takie całkiem złe. Łódeczka, mimo że rozpadająca się, czujnie i chętnie słuchała się wiosła. Słaby wiatr wiał ku wyspie, pomagając wiosłować. Mokra koszula przylepiła się do ciała, przyjemnie chłodząc, rozrzucone buty schły na rufie. Do brzegu pozostawało nie więcej niż pięćdziesiąt sążni, kiedy postanowiłam zrobić przerwę i umieściwszy wiosła na burtach łodzi, z rozkoszą przeciągnęłam się do tyłu, masując krzyż.

— Wel, a dlaczego z rana nie popłynęłaś? Przecież do karczmy chciałyśmy pójść, tam wieczorem jakiś minstrel zamierzał występować. Jeśli wczorajszy lutnista — będzie wesoło!

Welka powykrzywiła się na tej części swojego ciała, którą mężczyźni jednomyślnie uznawali za najbardziej pociągającą, a sama zielarka — za najbardziej potrzebująca diety. Żywo pokazałam, jak Welka, ku niezadowoleniu karczmarza, cały wieczór będzie smutno więdnąć nad pęczkiem przyniesionej ze sobą pietruszki.

— Jeszcze zdążymy. Potrzebne mi jest rzadko spotykane zioło, które należy zrywać blisko zachodu słońca.

W zasadzie nie było już potrzeby wiosłować — prąd i wiatr powoli popychały łódź we właściwym kierunku, ale chciałam szybciej uporać się z robotą i wrócić na tamten brzeg. Oszczędny starosta osiągnął bezpośrednio przeciwny efekt: jeśli wcześniej z czystej ciekawości zanocowałam na wyspie, to teraz na złość nie zamierzałam tego robić. Nie chce płacić — niech śpi pod poduszką, jego problem!

— Przecież nie będziesz się tam grzebać aż do zmroku, prawda?

— Uporam się w pół godziny! — pod przysięgą obiecała zielarka, biorąc zawczasu przygotowaną żelazną szufelkę właśnie do grzebania w ziemi.

Obejrzałam się [Kto nie obeznany z tematem — wioślarz w łodzi siedzi plecami do kierunku jazdy.], wypatrując dogodnego miejsca do zacumowania i jak tylko przymierzyłam się do sprzyjającego miejsca wśród sitowia, to nagle przed samym czubem łodzi wynurzyło się i z tryumfującym wyglądem czujnego stróża, walącego w dziurę w płocie na widok dwóch złodziejasków, zawisło nad nami znajome czarne stworzenie.

Przeklęty refleks!!! Nie mogłabym, jak wszyscy normalni ludzie, zapisać i zdzielić go wiosłem!

A tak, łódź nie dopłynęła — ona po prostu rozleciała się na części, i to tak efektownie, jak gdyby pod jej dnem wybuchł bojowy pulsar. Rzeczy, na przemian z deskami, wiosłami i pasażerami poleciały w różne strony, buty,

całkiem jak jaskółki wzbiły się w niebo, jak gdyby przywołało je do siebie jakieś bóstwo o niszczycielskiej mocy.

Stworzenie (sądząc po jego zaskoczonych mordzie, nie spodziewającej się po nas takiej samo likwidatorskiej nikczemności) rzuciło się w bok i trochę dalej ze wstydu skryło się pod wodą.

— Wolhaa, nie umiem pły... — tragicznie zabalgotała zielarka.

„Widzę”, — posepnie pomyślałam, nurkując jej śladem. Coś namacawszy (mając wielką nadzieję, że nie stworzenie albo jakiegoś obcego topielca), rozpaczliwym szarpnięciem wyrwałam to w górę na powietrze, sama idąc głową pod wodę. Zgadłam. Welka rozkasłała się i tak kurczowo uczepliła się mojej szyi, jakbym była boją, a ona próbowała usiąść na niej okrakiem). Woda szczypała w oczy i zalewała usta, ledwie zdążyłam ją wypluć, nie mówiąc już o wyraźnej deklamacji zaklęć. Najśluszniej, na pewno, byłoby strząsnąć z siebie przyjaciółkę i wyrównawszy oddech, nałożyć na nią czar niezatapialności, ale nie mogłam zagwarantować, że zdążę to zrobić wcześniej, zanim ona zniknie pod wodą. I że będę w stanie ponownie ją tam namacać. I dlatego, bohatersko zaciskając zęby, tonęłam za przyjaźń. Na razie zielarka (widocznie, zainspirowana moim przykładem poświęcenia się, nie otwierała zaciśniętej ręki.

Taki obrót sprawy całkiem mi nie odpowiadał. Zbyt pochopnie zmieniłam pozycję i... wetknęłam nos w sprzączkę od paska Welki.

— Wydaje mi się, że już nie tonę... — ze zmieszaniem oznajmiła przyjaciółka, przecierając oczy. Tak wspaniałe sukcesy w pływaniu wstrząsnęły mną do głębi, od takiej niespodzianki przestałam się szamotać w wodzie i... usiadłam na dnie. Okazało się, że łódź rozpadła się przy samym brzegu wiru, skąd wyciągnęłam Welkę i wystarczyło parę zamachów wiosłem, żeby wydostać się na płyciznę. Zamiast tego, na długości pięciu sążni, odważnie walczyliśmy o życie nad odmętami o głębokości półtora arszyna.

— Pięknie, — mruknęłam i nie mając siły żeby się podnieść, na czworakach zaczęłam pełznąć do brzegu. Przyjaciółka, potykając się, poszła moim śladem.

Zwaliwszy się na trawę, dwadzieścia minut przeleżałyśmy plackiem, tępo patrząc na zachodzące szybko słońce, potem Welka ze skrucą pociągnęła nosem:

— Wolha, przecież ja także zachowałam się nieodpowiedzialnie używając na łódce zaklęcia Arwaden, a tak naprawdę to dopiero zaczynałam je splatać...

Roześmiałam się i usiadłam. Zachód słońca, nawiasem mówiąc, był niesamowicie piękny — szczególnie, jeżeli uwzględnić, że mógł stać się dla nas ostatnim. Woda, naśladując niebo, zabarwiła się wszystkimi odcieniami złotego

i miedzianego koloru, do których już zaczęły dołączać się szkarłatny, malinowy i purpurowy. Nieprzemakalne buty znajdowały się gdzieś na dnie wiru, a miejscowe płotki z zainteresowaniem zapoznawały się z moją rozprawą naukową. Natomiast miecz jak dawniej wisiał w pochwie za plecami. Namacawszy rękojeść, z niesamowitą ulgą wzniosłam oczy do nieba, ażeby podziękować świętemu Fedjulianowi, ale przypomniałam sobie jego złośliwą minę i powstrzymałam się.

Welka wyszła z katastrofy z jeszcze mniejszym uszczerbkiem — nie rozbierała się, a torbę na zioła, w której na wszelki wypadek wałało się kilka flakonów z lekami, jeszcze na pomoście przypięła do pasa. Wsuszyć się było sprawą paru sekund.

— I cóż nam teraz zrobić? — żałośnie zapytała zielarka. — Łódka się rozpadła, a rybaków w pobliżu nie widać... oczywiście mam wątpliwości, czy oni tutaj dobrowolnie by podpłynęli, ale dla takiej sprawy można i przymusowo.

— Będziemy musiały tu zanocować, — z westchnieniem zdecydowałam. — Rano pewnie będę w stanie dopłynąć do tamtego brzegu i wypożyczyć łódź, ale teraz chyba nie jestem zdolna do takiego wyczynu. A i fale coś się rozhulały.

— Nocować? Tutaj?! — wpadła w przerażenie Welka. W szkole nie można jej było zawlec nawet na dwudniową wyprawę, uroki szalasów w zestawie z komarami całkowicie nie inspirowały mojej przyjaciółki.

— No, nie dokładnie w tym miejscu. Możemy pójść i poszukać ruin pustelni, dopóki jest jasno. Będzie przynajmniej dach nad głową. Jednocześnie...

— Wolha!!!

— Niech będzie, już milczę. — Wstałam i wyciągnęłam do Welki rękę. — Miejmy nadzieję, że ono nie zacznie dzisiaj wyć.

\* \* \*

Jeśli bym na własne uszy (a co tam uszy, do szpiku kości przeszło!) nie usłyszała, co się tu nocami wyprawia, lepszego miejsca na odpoczynek nie mogłabym sobie wymarzyć ani zapragnąć. Przy końcu łagodnie opadającego brzegu, idealnie nadającego się do rozpalenia ogniska, pieczenia szaszłyków i towarzyszącej im zabawy, zaczynała się luźno rosnąca brzezina, przechodząca w gęsty, świerkowy las. Dopóki Welka, wypatrzywszy jakąś bujnie rosnącą florę, w upojeniu wykopywała ją z ziemi, przespacerowałam się po lasku, żeby zbadać sytuację. Tak żeby przyjaciółka nie widziała, rozesłałam kilka impulsów, splotłam standardowe zaklęcie wołania, prowokujące nieżywych do zawarcia bliższej znajomości z beczelną wiedźmą, ale je oburzająco zignorowali. Zresztą,

to jeszcze nic nie znaczyło — stworzenie mogło drzemać w podziemnym legowisku albo w ogóle posiadać odporność na zwiadowczą magię. Ale przynajmniej, zwyczajnych upiorów, czy też harpii, jak i wilków z niedźwiedziami, można się było nie obawiać.

W zamyśleniu przeszłam się wzdłuż choinek, szukając między nimi jakiegoś prześwitu, ale skutek był marny. Drzewa tak szczelnie posplatały się kłującymi gałązkami, że nawet zającowi nie udało by się przemknąć. Czyżby cały środek wyspy tak beznadziejnie zarósł?

Zwiadowczy impuls stwierdził inaczej. Solidny płot ze świerków, gruby na trzy sążnie, a dalej pustka. Wyglądało na to, że dajny siali nie tylko „ziarna prawdziwej wiary”, ale i banalne szyszki. Ale w jaki sposób sami się przez nie przedostawali!

Przyłączyła się do mnie zadowolona ze swojej zdobyczy Welka. Przyjrzałam się i z oburzenia aż jęknęłam:

— To jest to twoje rzadkie zioło?!

— Aha. — Zielarka z błogim wyrazem twarzy, jak u młodej matki, tuliła do piersi ogromny krzak łopianu, z długim wykopany korzeniem.

— Wel, a na pustkowiu za wsią jego całe połacie rosną, ze Smółką ledwie się przedarliśmy! Potem przez pół godziny spodnie z rzepów czyściłam!

— Tak? — nieco zmieszała się przyjaciółka. — Że też i nie wiedziałam... Z mojej strony wsi on nie rośnie. Tylko spójrz, jaki wspaniały!

Potulnie pozachwycałam się unikatowym egzemplarzem, uczynnie podsunęty pod sam nos.

— A choinki nie potrzebujesz?

— No, żywicę i nasiona wykorzystuje się do sporządzenia pewnych napojów... — na poważnie zamyśliła się zielarka.

— Tak, wykop kilka sztuk, jednocześnie i drogę oczyścisz.

Welka znacząco pogroziła mi pięścią, mimochodem badając wzrokiem nieprzystępny świerkowy las.

— A może zaklęciem rozsunać?

— Nie rozsunie się, zbyt ściśle się splótł. I pnie jakieś grube, złamią się. Trzeba szukać przełazu<sup>9</sup>.

— Może, lepiej w brzeźniaczku zanocujemy? — nieśmiało zaproponowała przyjaciółka. — Nie podobają mi się te choinki....

— Mi także. Dlatego trzeba popatrzeć, cóż takiego jest za nimi... dopóki stworzenie nie wylazło na nas popatrzeć.

Welka tęsknie spojrzała nad jezioro. Niestety, odważnych rybaków, na

---

<sup>9</sup> Przełaz - miejsce umożliwiające pokonanie jakiejś przeszkody w trudnym terenie

wyścigi śpieszących do nas z pomocą, widać tam nie było, a fale w stanowczy sposób atakowały brzeg. Zielarce nie pozostawało nic innego, jak dogonić mnie i iść przy mnie, wzdrygając się na dźwięk każdego szmeru.

Czy dzisiejsze pasmo niepowodzeń wreszcie się skończyło, czy też wręcz przeciwnie, zaczęło nabierać rozmachu, a my się jeszcze tego nie domyśliłyśmy, ale po jakichś sto krokach natknęłam się na przejście — o wysokości około łokcia i dziesięciu werszek<sup>10</sup> szerokości. Tuż nad samą ziemią, prawie równusieńko z nią, jakby z rozpędu przebiła go kula z roziskrzonym wnętrzem. Na amen szczepione gałązki nie dały przewrócić się świętym pniom, a igły uschły przyciągając uwagę.

Dziwna dziura spodobała się nam jeszcze mniej, niż ogrodzenie.

— Pewna jesteś, że to główne dajnowskie wejście? — roztrzęsionym głosem spróbowała zażartować Welka.

— Czyżby w celu przejrzenia słynnego świątynnego wina. — Przeciągnęłam po gałązce palcem, i w mgnieniu oka wyłysiała. — Wejście nie ma więcej niż rok, w przeciwnym razie igły osypałyby się same, a pień zaczął gnić. Ale i nie mniej niż miesiąc.

— A wyć zaczęło mniej więcej pół roku w tył — zorientowała się Welka. — Myślisz, że to jest ze sobą powiązane?

Lubię opierać się na faktach a nie na czczych domysłach. Tak więc przywłaszczyłam sobie wątpliwy zaszczyt pierwszego podróżnika, dokładniej, pierwszego przełaza, na wszelki wypadek wystawiwszy przed siebie miecz.

Po tamtej stronie znowu wrócił do pochwy. Za choinkami znajdowała się ogromna polana, zarośnięta po kolana burzanem<sup>11</sup>, jak to bywa z porzuconymi ogrodami. Prawdopodobnie, niegdyś jej środek zajmował niewysoki pagórek, ale pustelnicy pracowicie obgryźli go w koło, zrywając zbocze o łagodnym spadku aż do pionowych ścian, wysokich na półtora wzrostu człowieka i wzmocniony je murem z granitu. Pomędzy dużymi kamieniami były wmurowane drobniejsze odłamki, układające się w oryginalne desenie — szczególnie wokół niskich, na wzrost krasnoluda, otworów. W jednym miejscu zachowały się nawet drzwi, a na wprost przed nami — przystawione do dachu schody, o wygładzie dębowej kłody z nacięciami.

Smok wcale tu aż tak nie napaskudził, pustelnia zawałiła się zaledwie w dwóch albo trzech miejscach. Widocznie, najbardziej ze wszystkiego przygnębiła dajnow zagłada świątyni, zbudowana ciężką pracą, dającą się

---

<sup>10</sup> Werszek – stara rosyjska miara długości 1 werszek = 4,4 cm

<sup>11</sup> **Burzan** – (ukr. *Бур'ян* – burján) – wysokie, bujne zarośla roślin zielonych złożone przede wszystkim z chwastów: ostów i łopianów, występujące dawniej na stepach ukraińskich. Dziś w wielu miejscach Polski używa się jeszcze słowa burjan <http://pl.wikipedia.org/wiki/Burzan>

wyczuć w malowniczej stercie zwęglonych kłód, porośniętych trawą i krzakami.

Sprawdziwszy impulsem jeden z otworów, pochyliłam się i czmychnęłam do środka. Korytarzyk o długości jednego sążnia doprowadził mnie do niedużego, dosyć przytulnego pokoiku z kominkiem, resztkami zbutwiałego dywanika na glinianej podłodze, szerokim stołem, zapomnianym na nim lichtarzem i z drewnianym łóżkiem z jednolitej kłody, z góry do dołu obrośniętej wyblakłymi, niejadalnymi grzybami, na cienkich, krzywych nóżkach. Całkowicie nadające się na nocleg miejsce.

Przy wyjściu zderzyłam się z Welką.

— No i jak?

— Na razie nie znalazłam niczego co by się nadawało na nocleg.

— I dlaczego nie mogłaś ograniczyć się do dwóch słów? — westchnęła przyjaciółka. Tylko się uśmiechnęłam i balansując rękami, lekko wbiegłam po drabinie zbudowanej z okrągłych kłód.

— Oho! Welka, chodź tu szybko!

Zielarka, nie rozstając się ze swoim ukochanym łopianem, podeszła do ściany, zamknęła oczy i powoli uniosła się w górę.

— Przelot — powiedziałam uszczypliwie, zachwycając się jej piętami. Welka szybko skorygowała zakłęcie i opuściła się na trawę tuż za mną.

Wzgórze nie miało wierzchołka. Wewnętrzne zbocza płynnie schodziły w dół, do idealnie okrągłego jeziorka po środku. Niedużego, o średnicy pięciu sążni, ale wyglądającego na niezgłębione, a za sprawą zachodzącego słońca — jakby wypełnione gryczanym miodem, ciemnym, lepkiem i nieruchomym. Między brzegiem i zboczami pozostawał pasek równej ziemi, porośniętej brzożami.

— Jak pięknie... — Welka jak oczarowana poszła dookoła jeziorka, nie odrywając od niego wzroku.

W tym czasie odkryłam jeszcze coś ciekawego. Opadłam na kolana, obmacując ziemię świerzbiącymi koniuszki palców. Jest! W dole brzucha poczułam znajomą, słodkawą i jednocześnie bolesną falę. Zresztą, nic niezwykłego — dajny celowo wybierają podobne miejsca na świątynie. Tutaj, zarówno ich modlitwy, jak i nasze zaklęcia, osiągają pomyślniejsze cele.

— Wel, tu jest energetyczny punkt. I jaka potężna moc!

— Tu też! — ze zdziwieniem odezwała się Welka. — Akurat na nim stoję!

Podniosłam głowę, oceniłam odległość i szybko zamachałam przyjaciółce ręką, pragnąc jak najszybciej potwierdzić swój domysł.

— Podejdź jeszcze troszkę do przodu i policz kroki!

— Dlaczego? Oj, jeszcze jeden... Siedemnaście, ale jak to odkryłaś?!



— Domyśliłam się. A teraz — do mnie.

— Siedemnaście i pół. — Welka zatrzymała się tuż koło mnie, i z opóźnieniem do niej dotarło: — Naturalny trójkąt! Marzenie każdego maga — trzy symetryczne źródła mocy, nie trzeba czerpać z siebie, stawaj po środku i czaruj!

— I jak ty to sobie wyobrażasz? — Z niezadowoleniem spojrzałam z ukosa na ciemną wodę. — Obcej magii w centrum trójkąta, jak i koło twojej łodzi, nie należy używać, a tratwa, nawet na dwóch kotwicach, zacznie się kołysać i zakłęcie się zdestabilizuje albo wymknie się spod kontroli.

— No, jezioro można by osuszyć.

Welka podsunęła mi wspaniałą myśl:

— A można i wykopać. Popatrz jak gwałtownie urywa się dno. Albo ktoś tu już czarował i trochę przesadził w gorliwości, albo jezioro stworzono celowo, żeby nikt nie mógł skorzystać z trójkąta.

— Dajny?

— Możliwe. Pustelnia to nie świątynia, gdzie kapłani rozmyślają o duchowym życiu, ale wolą materialny, to znaczy portmonetki ufnych wiernych. Tu na pewno przebywali doświadczeni dajnowie i naprawdę obdarzeni czarodziejsk... boską siłą. Sami chyba nie byliby w stanie przeprowadzać magicznego rytuału, ale przeczytać dziesiątki modlitw i rozpalić „diabelską próbę” dalej od grzechu — to całkowicie zgodne z ich duchem. Żeby konkurentom, to znaczy nam, nie przypało w udziale.

Zmartwiona Welka pokręciła się nad brzegiem i machnęła ręką:

— Może to i lepiej. Mało prawdopodobne, że ktoś natrafi na magiczny trójkąt, durniów wśród magów nie brakuje.

Zresztą, korzyść ze źródeł mimo wszystko była: szybko odnowiliśmy magiczną rezerwę i wróciliśmy na polanę, gdzie od razu poczułyśmy się bardziej pewne swoich sił.

Zanim zapadła ciemność zdążyłyśmy obejrzeć całą pustelnię — dokładniej, — ja po kolei łąziłam od celi do celi, a Welka stała przy wejściu, co jakiś czas interesując się, czy mnie już ktoś zjadł czy też nie. Niestety, niezmiennie ją rozczarowywałam, a kiedy dla żartu zaczęłam wyć, w odpowiedzi, przy wyjściu dostałam łopianem po karku. Wewnątrz wszystkie cele wyglądały jednakowo, różniąc się tylko ilością kurzu i pleśni. Najlepiej zachował się pokój z drzwiami, więc go zajęłyśmy, naznosiwszy do środka świerkowych gałązek.

Przez cały dzień powietrze, ziemia i woda tak się nagrzały, że nawet zmierzch nie przyniósł chłodu. Zanim zbudowałam leżak, koszula przesiąkła potem, bosa nogi poparzyły pokrzywy, a za kołnierz nasypały się świerkowe

igły. Na szczęście, na brak wody nie mogliśmy narzekać, wręcz przeciwnie. Ale nie chciało mi się wracać na brzeg wyspy — daleko, a do tego nie chciało mi się znowu przechodzić przez dziurę, a potem szukać jej w ciemności. Będzie szybciej i wygodniej wykąpać się w położonym pośrodku wyspy jeziorku.

Welka poszła razem ze mną, nie chcąc narazić na pokusę nieraczącego podejść do nas nieżywego, jeśli ten jednak namyśliłby się porzucić swoje zaciszne legowisko i z zachwytem znalazł na polanie dobrze odżywioną zielarkę.

Księżyc skrył się za kosmatymi chmurami, w słabym świetle gwiazd jezioro wydawało się czarną, bezdenną wyrwą. Od niego wionęło źródlanym chłodem, że przez chwilę rozważałam wykąpanie się w wannie ale postanowiłam ograniczyć się do szybciusieńkiego opłukania. Gdy tylko zaczęłam ściągać koszulę przez głowę, Welka krzyknęła:

— Wolha, tylko spojrzysz na to!

Koszula z pośpiechem wróciła na miejsce, a i kąpać się w jednej chwili mi się odechciało: przez wodę przeświecały się na wpół przejrzyste kości smoka, blado promieniejąc od wewnątrz. Pomimo ogromnej głębokości, był widoczny każdy kręg — od długiej szyi do kolczastego ogona, owiniętego wokół ciała, — starannie złożone po bokach skrzydła i długa mordą, opierająca się na przednich łapach.

— Zobacz, jak dziwnie — szepnęła Welka. — Zwinął się w kłębuszek, jakby drzemał...

— A powinien być leżeć na pustelni. — Też z jakiegoś powodu obniżyłam głos. — Prawda jest taka, że od bardzo dawno powinien rozpaść się na pojedyncze kosteczki. Sprawia jednak takie wrażenie, jakby zdechł pod wodą sam z siebie.

— Może, dajny jednak mimo wszystko okazali wsi uprzejmość i zepchnęli ciało smoka do jeziora?

— Wtedy wieś do tej pory nosiła by nazwę Wędzisko. A spróbuj ruszyć tę machinę, tu jedne kości przyszłoby się cały dzień ciągnąć!

— No, mag poradziłby sobie w parę godzin. Spójrz, nawet wszystkie kły ocalały! A ja, jak raz, na dniach ostatni kawałeczek zużyłam...

Smocze kły, a także kości, pazury i grzebień wchodziły w skład mnóstwa napojów, były wykorzystywane do hartowania mieczów i jako podstawa dla amuletów. Popyt na nie znacznie przewyższał oferty, gdyż żywe smoki odnosiły się do idei konfiskaty kłów nader negatywnie i magowie musieli zadowalać się powypadanymi, zdobycznymi albo takimi, które utknęły w wyplutej zbroi, nie cieszącymi się takim wzięciem smoczymi siekaczami. I dlatego kosztowały one

dość drogo — uderzając każdego zielarza mocno po kieszeni.

— Spróbuję sięgnąć po kilka, — zdecydowała się Welka, podwijając rękaw i trochę szerzej rozstawiając nogi. Nachmurzywszy czoło, zielarka uważnie utkwiała wzrok w wodzie, dla dodania splendoru wyciągnawszy do niej rękę ze zgiętymi palcami. Po upływie kilka sekund dłoń zaczęła leciutko drżeć, obniżając się coraz niżej i niżej, dopóki bezładnie nie obwisała.

— Nie poddaje się, — zielarka wypuściła z płuc wstrzymywane dotąd powietrze, wycierając kropelki potu z czoła. — Trzeba chyba razem ze szczęką, ale sama jedna takiej wagi nie pociągnę. Pomożesz?

— Oczywiście.

W wodzie zakłęcie ulegało dużemu rozproszeniu (woda w ogóle dobrze pochłania magiczną energię, aczkolwiek razem lżej było ową szczękę z niej wydobyć), ale mi jakoś udało się „zaczepić” smoka za górny oczny kiel.

— Raz, dwa — ciągnij!!!

Kły nadal siedziały martwym bykiem; widocznie, smok za życia zwracał się do cyrulików tylko w celu gastronomicznym. Nasze połączone siły zmusiły czaszkę do tego, że zaledwie nieco się uniosła i natychmiast plasnęła z powrotem, wzbiwszy mętny obłoczek mułu.

— Zaraza... — Potrząsnęłam dymiącą się dłonią. Czarować po takiej spiekocie było trudniej, niż nosić worki z ziemniakami.

— Nie rozumiem, co go trzyma? — Welka, uchwyciwszy się pnia brzozy, ryzykownie zwiesiła się nad wodą, próbując trochę lepiej przyjrzeć się upragnionym składnikom.

Za dobrze znałam to zachłanne spojrzenie — dokładnie z takim samym Kella, panicznie bojąca się wysokości, wchodziła za jakąś rzadko spotykaną jemiolę, na szczyt dziesięcio-sążniowego dębu, (ściągać ją wypadło nam z Lenem — on przez pół godziny namawiał ją do zeskoczenia na rozciągniętą pod drzewem narzutę, a ja w tym czasie podstępnie nadłamywałam przy pomocy magii oblepioną przez zielarkę gałąź. A Welka tylko patrzeć jak zanurkuje!

— Może, jeszcze raz spróbujemy? Wzmocnimy przez zrównanie Szess, mamy dwie stałe, a wektor można na oko określić...

— Po co się rozdrabniać, lepiej zaraz osuszmy jezioro — zażartowałam. — Dostaniesz swojego smoka w pełnym komplecie!

Aż tu w pustych oczodołach zapaliły się zielone światełka, szkielet poruszył się, gwałtownie machnął skrzydłami i nabierając prędkości, rzucił się ku powierzchni.

\* \* \*

Ledwie zdążyliśmy się cofnąć, jak woda wystąpiła z brzegów jeziora, utworzyła falę o wysokości dwa razy wyższą ode mnie i zwała się na nasze głowy, ogłuszając, odrzucając i wciskając nas w ziemię.

„Pełny komplet” z wyciem wzbił się w niebo, zakreślił łuk, złożył skrzydła za plecami i ze zdwojoną prędkością pomknął wprost w kierunku ziemi, w locie rozdziawiając paszczę.

Jako pierwsza zorientowałam się, że on z powrotem nurkować do jeziora nie ma zamiaru.

— Welka, uważaj!!!

Język bezbarwnego, falującego ognistego mirażu przeszedł między naszymi ciałami i ledwie zdążyliśmy potoczyć się w różne strony. Woda zagotowała się a wszystko zasnęła para.

Smok w ostatniej sekundzie wyprostował skrzydła i koszącym lotem przeleciał nad pagórką. Wyplunięta woda skierowała się z powrotem do jeziora, porywając mnie ze sobą. Wykręciłam się i spróbowałam ucześcić się rzadkich kępek trawy, pomagając sobie kolanami, ale napór był za wielki. Lodowata woda nakryła mnie z głową i na arszyn wcisnąwszy w jezioro, zaczęła powoli wypychać z powrotem.

Rozwarłam pełne trawy pięści i w zharmonizowany sposób machając rękami i nogami, rzuciłam się w górę do srebrzystego lustra powierzchni. W swobodnym nabraniu powietrza i rozejrzeniu się przeszkodził mi przenikliwy krzyk Welki:

— Wolha, nurkuj!!!

Nie pozostawiłam przyjacielskiej rady bez odzewu i już przez wodę zobaczyłam, jak wylaniająca się trawa zaczyna się palić, jak gdyby była sucha. Poczułam jakby ktoś chlusnął mi wrzątkiem po plecach, które szybko ugasił źródłany chłód jeziora. Woda stała się jeszcze przyjemniejsza, ale zabierać się za mycie całkowicie mi się odechciało. Za Drugim razem poszczęściło mi się lepiej: smok spróbował odejść na następny krąg, ale, nie zdążywszy nabrać wysokości, po ptasiemu zaczął skakać na krótkich, krzywych łapach, hamując łopoczącymi skrzydłami. Przepełnąwszy odległość kilku zamachów wiosłem, dotarłam do brzegu, złapałam za wyciągniętą nogę Welki (rękami zielarka na amen przylepiła się do brzozy; rozewrzeć połączone palce pomógł tylko widok nawracającego w naszą stronę smoka) i wygramoliłam się na stały grunt.

Brzozowe gałęzie szerniały i skurczyły się, drzewo jak gdyby zaczęło się nadtapiać, ale w ostatniej chwili rozmyśliło się i buchnęło płomieniem, od korzeni po wierzchołek. Na polanie zrobiło się jaśniej. Wreszcie zdołaliśmy

przynajmniej dostrzec atakujące nas stworzenie i dopiero wtedy nam rzeczywiście zrobiło się niedobrze. Smok był większy od naszego Lewarka półtora raza (prawda, wychudły i tyczkowaty, jak kot śmietnikowy) i składał się bynajmniej nie z jednych kości. W powietrzu kości przestały się świecić, prawie zanikając za przezroczystym jak górski kryształ ciałem, rzucającym mglisty cień.

Spróbowałam zastosować zakłęcie nocnego wzroku — i zakląłam. Smok całkiem zniknął. Pośpieszna deaktywacja zakłęcia przyniosła jeszcze większe rozczarowanie, gdyż gad nie tracił na darmo czasu i już radośnie rozdziawiał paszczę w odległości o jakiś sążeń ode mnie, proponując do wyboru dwa rządy wartościowych składników. Nie namyślając się długo, chytrze wyrzuciłam do przodu rękę, wkładając w cios czystą, nieuformowaną w zakłęcie siłę. Zębata morda odskoczyła, jakby od wymierzonego policzka. Stworzenie zakrzusiło się płomieniem i rozkaszało kłębami czarnego dymu. Nachyliłam się i dałam nurka między jego łapami. Przemknąwszy pod brzuchem, zaczęłam wdrapywać się na górę po zboczu... gdy nagle zauważyłam Welkę, z wielkim powodzeniem udającą posąg z bladozielonego marmuru, wkopaną przy brzegu jeziora.

Nabrawszy tchu, smok gniewnie zaryczał i przestawił się na bardziej zgodliwą zdobycz. Zielarka z zimną krwią czekała, aż obróci w jej stronę głowę, a wtedy celnie chlusnęła mu w oko z jakiegoś flakoniku, po czym z pouczeniem dobrze wykonanego obowiązku zaczęła osuwać się w omdleniu na ziemię. Przeszkodziłam pomyślnemu zakończeniu tej sprawy, wyrwawszy przyjaciółkę za kołnierz spod nowego strumienia płomienia — na szczęście puszczonego na oślep. Parę wymierzonych Welce policzków żywo pomogło jej się otrząsnąć i nie czując pod sobą nóg, ręka w rękę pomknąć ze mną na szczyt wzgórza. W ślad za nami leciało straszne wycie, łopotały skrzydła i smagał po ziemi ogon, pozostawiając odczuwalne drżenie pod naszymi nogami; zdaje się, że radykalne metody uzdrowicielstwa Welki nie wprawiły smoka w zachwyt. Oczywiście, na honorarium również nie miała co liczyć. Osiągnąwszy skraj pustelni, nie namyślając się długo, zeskoczyłyśmy w dół. Rzuciłam się do swojego miecza, nieopatrznie wetkniętego w ziemię koło pustelni, a Welka (widocznie, po inercji) — do leżącego obok łopianu. Zresztą, atakować smoka jednoręcznym mieczem odważyłby się tylko jakiś dureń, naczytawszy się bajek, tak że szanse zabicia gada posiadanymi na podorędziu środkami były u nas (mnie i zielarki) mniej więcej równe.

Smok nadleciał szybciej, niż mieliśmy nadzieję. Z lekkim wiaterkim przeleciawszy nad naszymi głowami, dźwięcznie grzmotnął o ziemię i widząc, że zdobycz lada chwila zniknie w wąskiej dziurze pustelni, rzucił się naszym

śladem, z pośpiechu przebierając łapami w miejscu.

Na progu przyhamowałam, wyrwałam Welce leczniczy łopian, zamachnęłam się i rzuciłam nareczem w rozdziawianą do kolejnego płomiennego wybuchu paszczę. Zielarka żałośnie jęknęła, smok odruchowo zamknął szczęki i natychmiast zaczął rozpaczliwie pluć. Popchnęłam osłupiałą Welkę w plecy, zapędzając do wejścia i dałam nurka jej śladem.

Gdy tylko przemknęliśmy korytarzem i oparliśmy się o ściany znajdujące się po obu stronach otworu, za nami wdarł się falujący ognisty miraż, docierając prawie do środka celi. Nasze boki oblało gorąco, leżaki zapłonęły wysokim, trzaskającym płomieniem, wyraźnie oświetliwszy celę.

— W ostatniej chwili... — Welka wypuściła z płuc długo wstrzymywane powietrze i trzymając się ściany, powoli usiadła na podłodze.

— Aha. Cofam wypowiedziane przez mnie słowa, wyjątkowe zioło i naprawdę zasługujące na najwyższą pochwałę!

Zielarka ponuro spojrzała na mnie z ukosa, ale nic nie powiedziała. Na zewnątrz wściekle zaryczał smok, także obrażony w swych uczuciach.

— Może wytłumaczysz mi, Mistrzu praktycznej magii, co to za paskudztwo?

Także usiadłam, objąwszy rękami kolana:

— Oceniając po wszystkim, cmentarne ghyriszcze w parze z zachłannym umarlakiem.

— Co?

Uspokoiwszy się, doprowadziłam myśli do porządku i spróbowałam wytłumaczyć bardziej zrozumiale:

— Po wsi chodzą słuchy, że w okolicy dzieje się coś niedobrego — ludzie giną bez śladu, samopas ulatuje domowe bydło... i ja mam takie złe przeczucie, że te niewinne psoty obciążają sumienie tej miłej jaszczurki na zewnątrz, bawiącej się przy pustelni. Za dnia siedzi ona w głębinie, a nocami przyprawia skrzydła krowom, a też i pechowym przechodzącym. Poluje daleko od swojego legowiska, żeby nikt niczego nie podejrzewał, a zauważyć go w locie jest praktycznie niemożliwe...

Zacięłam się, dając wypowiedzieć się trzeciemu uczestnikowi „czulej” rozmowy. Po ściankach korytarza skrobnęła pazurzasta łapa, potem dało się słyszeć wyraźne sapanie, i nad podłogą zakłębił się wzbity kurz. Ku wielkiemu zmartwieniu smoka, na tym jego możliwości się wyczerpały. Płuć grudkami płomieni, od zderzenia z przeszkodą rozchodzącymi się we wszystkie strony, widocznie, nie umiał, a tak w ogóle szczególnym rozumem się nie odznaczał — nasz Lewarek nie zniżyłby się do wydłubywania ludzi z podejrzanych dziur i już

tym bardziej nie zaczął by się tak szczerze wściekać ze złości. Smok — istota chytra, zdradziecka i cierpliwa, znajdzie tysiąc innych sposobów na zepsucie wam życia.

— Tu by tego starostę, — w gniewie rzuciła Welka. Zielarka wiedziała, że smoki praktycznie są odporne na zaklęcia, a warstwę łusek przebija tylko ciężki, dwuręczny miecz albo harpun balisty<sup>12</sup>. Przy używaniu strzał i zwykłych mieczy istnieje niewielka szansa na osiągnięcie celu — w dolną szczękę, w podstawę skrzydeł i łap, których smok, oczywiście, woli nie demonstrować agresywnie usposobionym do niego rycerzom i magom. — Niech by on tego gada „jednocześnie” zdechnął agitował... Słuchaj, załatwmy temu stworzeniu niestrawność ze skutkiem śmiertelnym? Mam w torbie klika przeterminowanych eliksirów, jeżeli je zmieszamy i wzmocnimy kilkoma zaklęciami...

— Mamy jeszcze jeden problem, Wel, — przerwałam z westchnieniem.

— Jaki?

— On i tak zdechły.

\* \* \*

— A mówiliście — nie przyda się! — Gdyń triumfująco odczepił od koziej głowy kolejnego raka i wrzucił go do łodzi.

Starosta tylko westchnął. Tą frazę setnik powtarzał po wyciągnięciu każdego kolejnego trofeum, przepuściwszy tylko jeden raz, kiedy któryś rak wymyślił sposób wywinięcia się — capnąć rybaka za palec i zdezerterować z powrotem do wody. Zresztą, wtedy Gdyń także nie zmilczał...

Będący w pełni księżyc wyraźnie posrebrzył taflę wody, która do północy zdążyła się uspokoić. Dookoła płycizny w kształcie klina, zawalonej naniesionymi przez prąd rupieciami — kłującymi ścięgami wodorostów, gałązkami, sitowiem i dumnie sterczącym w centrum pniem — mieniły się maleńkie fale. Na pniu, z wyrazem męczeńskiej boleści na twarzy, siedział dryblas w czerwonej koszuli, zastanawiając się, czy dwie dziesiątki raków zdołają zbawiennie wpłynąć na nastrój małżonki, która pewnie już z godzinę temu wróciła z gościny i odkryła, że mężowska krzątanina w domu ograniczyła się do poszukiwań i późniejszej kradzieży dokładnie schowanej przez nią butli samogonu.

— A mówiliście!

Na dnie łodzi zaczął ruszać się jeszcze jeden rak. Starosta podkulił nogi i spojrzał z ukosa na wyspę, która z dala wydawała się czarną, zębatą skałą, u

---

<sup>12</sup> <http://pl.wikipedia.org/wiki/Balista>

góry oblaną srebrzysto-zielonym fosforem. Do brzegu, na którym leżała wieś było jeszcze dalej, ale wcale nie wyglądał przytulniej — wysypisko sączących się przez okna światełek i ognisko na przystani robiące za latarnię morską, specjalnie dla amatorów nocnego łowienia ryb.

Pomału wszystkie raki, które skusiło wiedźmie trofeum, przeniosły się na łódź i Gdyń zatęsknił za następnymi.

— Może, zmienimy miejsce? — zaproponował, łapiąc za wędkę i krytycznie badając z lekka poskubaną przynętę. — O tam, na płyciznie, także dobrze biorą, jeśli od zawietrznej strony by się zatrzymać...

Dryblas w milczeniu przelazł na wiosłarską ławę, Gdyń wygodnie urządził się na rufie, udając, że nie wie nawet do czego służą wiosła, a już na pewno, że nie umie z nich korzystać. Starosta zaczął wyciągać kotwicę — brukowiec na krzyż obwiązany sznurem.

Ale nie zdążył ani razu przesunąć rękami po mokrej linie, gdyż jej drugi koniec, który był przywiązany do białego z przodu łodzi kółka, jak raz zadrzał w krzywce i wężykiem pomknął z powrotem.

W następnej chwili łódź dotknęła dziobem tafli wody, jednocześnie wierzgnąwszy rufą nie gorzej niż kobyłka wiedźmy i strząsnąwszy „jeźdźców” na swoje dno, rzuciła się do przodu, to wyskakując z wody, to przeorując ją głęboką bruzdą, od której rozchodziły się bałwany piany.

Napreżony sznur wibrował jak struna. Jeśli któryś z bogów i słyszał wezwania pod swoim adresem, to jakoś nie śpieszył się na nie reagować, jawnie nie wierząc podejrzenie hojnym obietnicom, składanym w zamian za pomoc, takim jak: rzucenie picia i szlajania się za dziewczkami, naprawienie żonie wszystkich beczulek i wypłacenie pierwszemu spotkanemu magowi nie dwudziestu, a całych stu kładni.

Dryblas gorliwie udawał monotony myśliwski róg, przerywając tylko dla nabrania oddechu, setnik nie porzucił nadziei namówienia kapryśnego bóstwa (widocznie, jeszcze nie wiedzącego, że łatwiej spełnić prośbę Gdynia, niż się od niego uwolnić), starosta cichuteńko leżał na samym dnie łodzi, wśród mściwie szczypiących raków i z zimną krwią (gdyż wyżej wymieniony płyn stygł w żyłach wszystkich trzech) zastanawiał się nad sytuacją. Rusałki, jeśli i wpływały do Pstrąga, ograniczały się do handlowych kontaktów z miejscowymi kupcami i na podobne wysoki sobie nie pozwalały. Wodnik, nędzny stwór z gębą jak kępa trawy, czasami wypełzający na płyciznę i żebrzący u rybaków o ćwiartkę<sup>13</sup>, nie dałby rady pociągnąć łodzi z trzema wielkimi chłopami. Wir miejscowego kozojedcy został wiorstwę dalej, a podobnych grzeszków nie należało się po

---

<sup>13</sup> ćwiartka – jakby ktoś miał wątpliwości to inaczej pół litra alkoholu



nim spodziewać. Co innego dla zwykłego kaprysu wywrócić łódź, a potem złośliwie poryczeć na nieboraków poddanych przymusowej kąpieli, żeby rękami i nogami przebierali wesoło — owszem, zdarzały się takie sprawy. W takim razie co to może być? Starosta co prawda słyszał, że w morzu za Elgarem żyje straszna ryba-zwierzę z tysiącem kłów, ale jest z rodzaju tych, co woli połykać rybaków żywcem, niż z wietrzykiem pchać ich po rzece. Czyż może jakiś niedobry sum skusił się na kamień wiszący na sznurze?! Być może poszarpie się, poszarpie się i zdechnie. Jednocześnie i ogromną rybę zdobędą, do domu przywloką, nasolą, owędzą... Starosta aż się oblizał, mocniej uchwycił się burty i przymrużył oczy. Z takiego powodu, chyba i warto pocierpieć!

Cierpieć, właściwie, przyszło się całkiem krótko. Dno łodzi ciężko zaskrzypiało po kamienistym dnie, a potem sunąc, z całej siły wyrznęło w coś twardego i zadrżawszy z trzaskiem zatrzymało się. Wokalny akompaniament migiem ucichł, chłopci, którzy w pierwszej chwili przygotowywali się do odbycia wycieczki do nieba, teraz gorączkowo zastanawiali się — zabierają ich tam jednak czy też nie.

W końcu Gdyń z lękiem uniósł głowę znad burty i czknął ze zdziwienia.

Łódka tkwiła na ziemi, w odległości pięciu sążni od brzegu. Rolę hamulca odegrał przysadzisty dąb. Ciągący łódź „sum” z rozpędem... przeskoczył przez pień, zostawiwszy w nim ogromną dziurę, w którą łódź się jednak nie wpasowała się, na szczapy zdruzgotawszy dziób. Po tej stronie poniewierał się wypadnięty ze sznurowego wiązania kamień, z czterema wyraźnymi wgnieceniami, od których wiły się pęknięcia.

A właściwie dąb rósł na brzegu wyspy.

\* \* \*

— Oto dlaczego — zajęczała zielarka, — nie poszłam na maga-praktyka! Wy w sytuacji „gorzej już być nie może” zdolni jesteście tylko radośnie zapewnić, że często nawet bywa jeszcze gorzej, a co więcej, że teraz właśnie będzie gorzej! I jeszcze niechętnie wytłumaczycie, jak ty to właśnie teraz zrobiłaś!

Rzeczywiście nie znosiłam dzielić się swoimi domysłami:

— Przypomnij sobie systematykę: diabelstwo bywa warunkowo żywe — te, które zdolne jest do rozmnażania się, ma ważne dla życia organy i mniej więcej typowy metabolizm — upiorne i właściwie martwe są: zombi i umarlaki. Do zjawy, zgodzisz się, nie podobny, lecz zakłęcie nocnego wzroku, oparte na aurze żywych komórek, nie podziałało na niego!

Co jak co, ale na pamięć Welka nie narzekała:

— A aksjomat Oleszera? Umarlaki takiego dużego rozmiaru są niestabilnie i oprócz pożywienia do utrzymania realnego kształtu, potrzebują stałej magicznej pożywki. I jeszcze żadnemu magowi nie udawało się ulepić zombi ze smoka!

— Ponieważ oni nie mieli trójkąta — szybko zaprotestowałam, bojąc się zgubić myśl. — Magiczny środek przypada jak raz na centrum jeziora, a co jeszcze jest potrzebne umarlakowi do szczęścia?!

— Parę dziewczyn na deser — westchnęła zielarka i nagle się zaniepokoiwszy, zauważyła: — Jakoś zanadto cicho!

Smok w rzeczy samej przestał, jak wyraziłby się jeden znajomy troll, „uwijać się nad klientem”. Na zewnątrz zapanowała niezwykła i dlatego złowieszczą cisza. Leżak przepalił się do słabo żarzących się węgielków, w gardle drapało od dymu, powoli cofającego się w czarną dziurę wejścia. Dostrzec, co dzieje się na zewnątrz było niemożliwe.

— Jak myślisz, on tam jeszcze jest? — Welka oczami pokazała na otwór.

Sapanie ucichło, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło — smok nie potrzebował powietrza, korzystał z systemu oddechowego tylko do wytrysku płomienia, węszenia albo przedstawienia zwinnej zdobyczy swojej uczciwej, bezstronnej opinii.

Niezdecydowanie wzruszyłam ramionami: Z jednej strony, stwór odznacza się bezgraniczną tępością, z drugiej — rzadkim uporem i tak po prostu ze zdobyczy nie zrezygnuje — czy też nie przestawi się na inną. A w połączeniu ze smoczą zawziętością...

Zielarka, zdecydowawszy się, głęboko westchnęła, zmrużyła oczy i przebiegła na moją stronę celi.

Żadne sprzeciwy ze strony smoka nie nastąpiły. Czy on naprawdę wyniósł się do siebie, czy też wyczekiwał bardziej sprzyjającego i lepszego momentu, żeby potraktować nas ogniem. Smoczy płomień nie da się strząsnąć nawet z żelaznej zbroi, nie mówiąc już o odzieży. Welka bardzo ryzykowała, ale szczekać zębami w pojedynkę było jeszcze straszniej.

— Mamy dwa wyjścia — stanowczo oznajmiłam, podnosząc na duchu przyjaciółkę, a jednocześnie (żeby tego starostę leszy wziął!) i siebie. — Pierwsze — poczekać do rana. Może promienie słoneczne zapędzą go z powrotem pod wodę.

— Może?

— Nie gwarantuję. Nie wszystkie nocne stworzenia boją się światła. Daleko nie szukając: strzyga, zatraciwszy się, może kontynuować pościg i za

dnia, a upiór wraz z nastaniem świtu oślepnie i pozostanie w tyle.

— A drugie wyjście?

— Wyjść i natłuc smoka po mordzie, żeby mu się raz na zawsze odechciało.

— Bardzo śmieszne — mruknęła Welka.

— Nie żartuję. Gdybym miała masywny miecz i ogniotrwałą zbroję, można byłoby zaryzykować.

— W torbie mam maść przeciwko oparzeniom — przypomniała sobie zielarka. — Wczoraj z jej pomocą ziemniaki z węgla wyjmowałam, jednocześnie i... tfu, mnie od tego słowa już trzęsie! Ogólnie, maść daje niewielki odmładzający efekt.

— „Salamandra”? Wspaniale, dawaj ją tu. Teraz ten gad zatańczy tak, jak my mu zagramy!

— Ty tak na poważnie! — przeraziła się Welka.

— Nie, po prostu idę na zwiad — uspokoiłam przyjaciółkę, otwierając szczelnie przytwierdzoną pokrywkę. Do spaleniźny dołączył ostry zapach mięty. — Jakby co, ona wytrzyma jeden smoczy oddech. Sprawdzaliśmy to razem z Lewarkiem, nie mając nic lepszego do roboty. Potem przez dwa tygodnie perlówkę<sup>14</sup> po lekcjach przebierałam, gdyż wpadłam na pomysł, żeby przeprowadzić ten efektowny eksperyment przy ścianie szaletu, na skutek czego cała Szkoła przez kilka dni wstydliwie korzystała z okolicznych krzaczków... Od tamtej pory nie mogę patrzeć na tę kaszę!

Szczodrze posmarowawszy twarz i włosy szczypiącym skórę śluzem, rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś półeczki albo występu — żeby umieścić na nim słoiczek, póki będę nacierać ręce. I utkwiałam spojrzeniem w ścianie celi, dopiero teraz zwróciwszy uwagę na ozdabiającą ją płaskorzeźbę. Nic szczególnego, gruba, gliniana sztukateria, wypłowiała i obłupana. Taka, jakie widziałam w innych pokojach. W rogach — symboliczne oznaczenia czterech bogów: klonowa gałąź, wyskakująca z wody ryba, mocno rozgałęziona błyskawica i ptak z rozpostartymi skrzydłami. Na środku, w miejscu kolejnej pouczającej sceny z żywota świętych, przyciągał wzrok szczegółowy plan pustelni.

Jednocześnie pstryknęliśmy palcami. Po bokach płaskorzeźby zapaliły się dwa pulsary — złocisty i zielonkawy.

— Spójrz tylko, wcześniej żadnych choinek tu nie było — prosta palisada z bramą — zauważyłam w zdumieniu.

— A jezioro zaznaczone, przy czym razem ze źródłami! — Pulsar Welki

---

<sup>14</sup> perlówka – kasza perłowa in. pęczak, pęczak

przesunął się do samej ściany. — Zaczekaj, a to co?

— Podobne do runy. — Pośliniłam palec i potarłam podejrzany skrawek w centrum płaskorzeźby. — Tylko jakiej?

— „Łowy”? — założyła Welka, zaglądając przez moje ramię.

— Chyba nie, o tu, zdaje się, była kreseczka — trochę niższej punkt po niej został. „Tchnienie”?

— Bardzo specyficzne, trzeba zauważyć, — chrząknęła przyjaciółka. — Stój, a jeśli to nie łuk lecz kółko i do tego jeszcze przekreślone? Wtedy wychodzi...

— „Odźwierny”, — wyprzedziłam. — A to już bardziej prawdopodobne! O ile dobrze pamiętam z kursu teologii, najcenniejsze relikwie dawniej pieczętowali zaklęciem... tfu, modlitwą do Odźwiernego, ducha — stróża czterech niebiańskich tablic. W większości przypadków to zaledwie widowiskowy obrzęd, ale, jeśli zuchwali pustelnicy uznali, że zasługują na zaszczyt aby zapalić pentagram, dla pewności wezwać prawdziwego demona i zainstalować go w smoczych kościach?

— Odźwiernego, — odruchowo poprawiła Welka. — Ale na co był im potrzebny taki wściekły smok? On przecież w ogóle nikogo do jeziora nie dopuszcza! Coś oni przealchemicyli ze swoimi modlitwami...

W zamyśleniu zadrapałam paznokciem brzeżek płaskorzeźby.

— Popatrz, ile warstw farby. Ona ma ze trzydzieści lat, nie mniej. A „wyć i huczeć” zaczęło całkiem niedawno.

— Odchodząc, pustelnicy mogli nałożyć na Odźwiernego powstrzymujące zaklęcie — zaproponowała Welka, — które z czasem osłabło albo w ogóle przestało działać.

— Może. Ale tak aktywnie czuwający stwór nie może długo obchodzić się bez jedzenia, w przeciwnym razie jego ciało zacznie się rozpadać. Chyba, że dawniej codziennie rzucali w jezioro po krowie albo ochotniku, a śpiący twardo jak kamień na dnie Odźwierny do niczego nie był im potrzebny. I tym samym zdechły smok, jak raz stał się przyczyną ich... hm... pośpiesznego odjazdu.

Pustelnia zadrżała z takim hukiem, jakby przeszło po niej niewidziane w tych stronach przez całe życie trzęsienie ziemi. Kawałek obitego deskami sufitu runął w to miejsce, gdzie jeszcze minutę temu stała Welka i natychmiast zniknął pod wysoką górką ziemi. Płaskorzeźba w mgnieniu oka pokryła się rysami i z cichym szelestem obsypała się na podłogę, drobnymi, glinianymi okruszkami.

Z przerażeniem wymieniliśmy spojrzenia.

Czy też smok przypomniał sobie doświadczenia jakie miał za życia w

kontaktach ze zdradzieckimi pustelnikami, czy też od nowa domyślił się, że załamać wierzchołek pustelni o wiele lżej, niż rozdzierać umocnione kamieniami i belkami wejście.

\* \* \*

Starosta i dryblas ponuro obserwowali, jak Gdyń, sapiąc, stara się wyjąć zaklinowane wiosło z dulki. Na cóż mu ono miało się przydać, setnik i sam nie mógł wytłumaczyć, ale zasada „przyda się” jeszcze nigdy go nie zawiodła. Łódka w ogóle to należała do starosty, ale ten pochopnie powiedział, że, niby to jego oczy, większego koryta jak te nie widziały i przegapić takiej możliwości chciwy setnik w żaden sposób nie mógł.

— Byleby wiosła były, to łódź się naprawi! — triumfująco sapnął Gdyń, zarzucając na ramię inwentarz, który w końcu się poddał. — No, idziemy, o co chodzi?

— Dokąd? — ponuro mruknął dryblas. — Musimy tutaj do świtu koczować, dopóki rybacy na połów nie ruszą! Po ciemku to nawet nie ma co nawoływać, nikt nie odpłynie. Dobrze będzie, jeśli za dnia jakiegoś chłopaka, który zechce się wykazać brawurą, nakłonimy.

— To przynajmniej w tym lasku chrustu nazbieramy i ognisko rozpalimy, odzież wysuszymy. — Gdyń niedbale machnął wiosłem na brzezinę i zatkało go.

Między lasem a chłopami, pojawiwszy się dosłownie z znikąd, jak gospodarz rozstawiwszy rude, muskularne łapy, stał, ogromny czarny pies nie mrugający oczami.

— D-d-dobry piesek — z krzywym uśmiezkiem wydusił Gdyń, oglądając się w poszukiwaniu wsparcia, ale koledzy tchórzliwie schowali się za jego plecami, uczciwie zakładając, że psina rzuci się na najbliższego burzyciela spokoju i to być może, nim się nasyci.

Bestia pożądliwie wyszczerzyła się, pokazując wszystkie trzy setki kłów (być może, starosta i pomylił się o dwa tuziny, jednak na ogólne wrażenie to nie wpłynęło), a następnie nie wydając żadnego dźwięku zerwała się z miejsca, ale nie na wprost przed siebie, a po łuku, zachodząc chłopów z boku.

Zranieni w samo serce taką perfidią, zgodnie zaczęli przeraźliwie krzyczeć i doznawszy zupełnie słusznej chęci znalezienia się gdzieś dalej, natychmiast i nader energicznie przystąpili do jej realizacji.

Pies rzucał się to w prawo, to w lewo i chociaż już ze sto razy mógł ciapnąć kogo bądź za kostkę, nie dostarczył sobie tej kulturalnej przyjemności,

ukierunkowanie zaganiając mężczyzn do dziury w choinkach. A kiedy wreszcie szczęśliwie do niej trafili, gwałtownie zahamował i usiadłszy na kusym ogonie, westchnął z ulgą, zupełnie jak człowiek.

\* \* \*

Smok, po szturmowaniu skokami wzgórza, zrobił przerwę i znowu zaczął się naprzeciwko wejścia, jak kot przy mysiej norze, z rozdrażnienia kręcąc ogonem i od czasu do czasu, profilaktycznie ziejąc w korytarz płomieniem. Wierzchołek wzgórza przeobraził się w czarne wgłębienie, ale przeklęte człowieczki schowały się w ocalały zakamarek, obok samego przejścia, gwałtownie kaszłąc, jednakże nie pragnąc wychodzić na świeże powietrze, co doprowadzało smoka do jeszcze większej wściekłości.

Obudzony przez ludzi, zew natury u smoka robił się coraz to głośniejszy i natarczywszy i nakazywał mu w pierwszej kolejności zniszczyć nieproszonych gości. Wiedźmy znalazły się w nieodpowiednim miejscu, o nieodpowiedniej porze i powinny za to zapłacić najwyższą cenę.

Smok rozpostarł szeroko skrzydła, jak bocian wygiął szyję, odrzuciwszy głowę w tył do samych pleców i zaniósł się bezdźwięcznym wizgiem, poruszającym liście. Ale usłyszał go tylko ten, komu był on przeznaczony.

I w tym momencie, w wypięty smoczy tył z rozpędem wyrznięto trzech rozzdzierająco wrzeszczących mężczyzn.

Nie od razu zorientowawszy się o co chodzi, uczestnicy zderzenia tępo spojrzeli na siebie nawzajem, po czym zdumiony taką bezczelnością smok, jak jaskółka podfrunął do na wpół zrujnowanej pustelni, (tak jak szlachetnie urodzona panna na widok trzech myszek wskakuje na krzesło), a krzyki Gdynia wzniosły się na ultradźwiękową tonacją.

Zrozumiawszy, że na świętość targnęli się raptem kolejni łajdacy, stworzenie wyrażając niezadowolenie zazgrzytało zębami i zjadliwie, sycząco zionęło na sprawców obrazy. Niestety (zależy, z której patrząc strony, oczywiście), nerwowy wstrząs przeszkodził mu z dobrze wycelować i płomień przeszedł górą, osiadłszy na łopacie pionowo zadartego wiosła. Przez parę chwil Gdyń z kolegami z powodzeniem przedstawiali słynny, złotem tkany gobelin „Święty Knarj i jego dwaj uczniowie przynoszą ludziom boski ogień”, ozdabiający główną starmińską świątynię, ale potem „święty” z trzaskiem zawałił misję dostarczania płomienia wdzięcznej ludzkości, upuściwszy wiosło i razem z „uczniami” rzuciwszy się tam gdzie oczy poniosą.

Na szczęście, oczy mężczyzn kierowały się w różne strony i na razie smok

gorączkowo zastanawiał się, kogo by wyróżnić. Z pustelni, chwiejąc się, wyskoczyły na wpół uduszone od dymu, powalane ziemią i spalenizną dziewczyny. Ruda, gwałtownie kaszląc w rękaw, mieczem wskazała przyjaciółce na przejście w ogrodzeniu. Innego wyjścia istotnie nie było, ale zielarki ono nie natchnęło — między nim a dziewczynami szalał smok, kręcąc się jak bąk we wszystkie strony. To tu, to tam ciemność rozcinały wysokie języki płomieni, ale mężczyźni biegali znacznie lepiej niż wiosłowali, tak że cierpiało głównie świerkowe ogrodzenie, które płonęło już w kilku miejscach.

Wreszcie ciemnowłosa zdecydowała się i pochyliwszy się, na palcach zaczęła obchodzić pochłoniętego polem ostrzału smoka. Ruda z napięciem obserwowała, z jakiegoś powodu nie śpieszyła się aby podążyć za jej przykładem i niebezpiecznie wysunęła się na otwartą przestrzeń.

Do wyjścia pozostawało nie więcej niż pięć sążni, gdy smok nagle, jak gdyby go ktoś potracił w bok, obrócił do zielarki wąską, wyciągniętą mordę, i do tego z takim złośliwym uśmiechem, jakby cały ten zamęt był wszczęty tylko w jedynym celu — wywabić dziewczyny z pustelni.

Zielarka cofnęła się i potknąwszy się, z krótkim okrzykiem upadła na ziemię.

Gad, triumfująco klasnąwszy skrzydłami, rzucił się do niej i... przenikliwie ryknąwszy przebiegł obok. Wiedźma z zakłopotaniem opuściła rękę, świecące niebieskawo strzepy wsiąknęły z powrotem w jej cienkie palce.

Za smokiem, zapierając się wszystkimi czterema łapami, co jednak nie przynosiło żadnego efektu, ciągnął się czarno-rudy pies, zaciskając kły na cienkiej części ogona, między łuskowatym koniuszkiem, a jego kolczastą, górną częścią. Sądząc po patrzących z beznadziejnością zmrużonych psich oczach i wytrzeszczonych smoczych, ani gryząca, ani gryziona strona nie odczuwała z tego procesu najmniejszej przyjemności.

Zakreśliwszy dwa pełne koła dookoła pustelni, smok wreszcie wpadł na myśl, by zmienić taktykę i zatrzymawszy się, gwałtownie smagnął ogonem po najbliższej brzozie. Pień rozleciał się na pół, hojnie trysnąwszy drzazgami. Liściasty czubek zwodniczo, powoli przechylił się na bok i z szelestem osunął się na ziemię. Pies, który wydawało by się, powinien stać się rozgniecioną na miazgę malowniczą plamą, jakimś cudem utrzymał się na smoczym ogonie, ale po kolejnym machnięciu zdecydował, że tego dobra na razie wystarczy. Otworzywszy szczęki, psina z kocią zręcznością wylądowała na wszystkich czterech łapach, z niezadowoleniem machnęła łbem i podkuliwszy pozostałość ogona, czmychnęła do jednej z cel pustelni.

Chwilę później wpadła tam nieszczęsna trójca, która z przestachu nie

potrafiła znaleźć dziury w choinkach i pomiotawszy się po polanie, znowu zbiła się w jedną kupę.

Smok szczęknął zębami w ślad za nimi i wydaje się, że nie chybił — rozległ się trzask, rozdzierający duszę krzyk i całe towarzystwo kupą zważyło się na podłogę.

— Moja noga! — jęczał Gdyń, znalazłszy się na górze. — Ten gad odgryzł mi nogę! I to jaką! Sam ciosałem, miała tylko dziesięć lat, wcale nie była znoszona!

— Niech by on się nią udławił... — marzycielsko powiedział starosta, próbując wyleźć spod dryblasza.

Drewienko istotnie nie przypadło smokowi do gustu — rycząc z oburzenia kręcił się w miejscu i drapał mordę łapami, wydłubując drzazgi z zębów. Podczas gdy Gdyń zawodząc badał wyrządzoną mu szkodę, dryblas ustalił, że ich straty nie ograniczyły się tylko do nogi — razem z mało kaloryczną kończyną w smoczym żołądku zakończyła swoją ziemską drogę tak niezbędna w gospodarce kozia głowa. Z worka, w którym zwisała przy pasie u setnika, została tylko nierównie odgryziona gardziel. Powiedzieć o tym Gdyniowi dryblas się nie odważył, słusznie obawiając się, że w przeciwnym razie setnik w ogóle nie da im żyć swoim biadoleniem. Zresztą, teraz bardziej niepokoił go czarny pies, który zastygł przy wejściu niby milczący posąg. Ale ten, chwała bogom, jakby zapomniał o nieproszonych gościach, skierowawszy nie mrugające oczy w ciemne wyjście.

Ciemnowłosa jakoś się podniosła i potykając się, szczęśliwie dokuśtykała do ogrodu i zniknęła w dziurze.

A ruda stanowczo się wyprostowała i wysunawszy rękę z mieczem, poszła naprzeciw smoka.

\* \* \*

Jeszcze jedna i to najistotniejsza różnica między zielarzem a praktykiem — ten drugi nie tylko posługuje się magiczną siłą, ale i bezbłędnie wyczuwa każdy jej przejaw... na swoją głowę.

Kiedy tępy stwór, do tej pory stosujący wobec przeciwników ordynarną siłę, promieniuje potężną mocą, nikt nie zgadnie na co skieruje magiczne pluśnięcie, to po prostu zmusza do zastanowienia się. To zmusza do myślenia o czymś niedobrym!

O Welkę można się już było nie niepokoić, ale nierozłączna trójca (jaki leszy ją tu przyniósł?! Czyżby starosta zawstydział się i postanowił wreszcie



odpracować przepite kładnie? Nie na długo jednak wystarczyło mu entuzjazmu do pracy...) ukryła się w pustelni. Mogłam pójść za ich przykładem, ale, niestety, na pierwszym planie „kto kogo przeczeka” stał smok. Jedna sprawa — wzmocnić zaklęciem sufit i złośliwie po podśmiewać się troszkę z na próżno skaczącego po wzgórzu smoka, a całkiem co innego — co sekundę spodziewać się od niego rewanzu w postaci magicznej podłości. Już lepiej dostać ich hurtem i raz i na zawsze ustalić, kto na tej wyspie rządzi. Albo przynajmniej określić, co ten rządzący dopiero co zrobił.

Smok z jawnym wysiłkiem coś przełknął, odwrócił się do mnie i zamarł w zdumieniu, oczekując jakiegoś podstępu.

Zbliżałam się. Bezdźwięcznym, płynnym, powolnym krokiem, jakiego bez powodzenia próbował nauczyć mnie Len. Nieskutecznie dla wampira, rozumie się. Ludzie jeżeli i poddawali mnie krytyce, to tylko w tych momentach życia, kiedy niespodziewanie pojawiałam się przed samym ich nosem.

Trzydzieści kroków.

Miecz zaczął mi odczuwalnie ciążyć w prawej ręce, ale przerzucenie go do drugiej oznaczało natychmiastowe przerwanie kruchej, prawie nierealnej, pajęczej ciszy w samym sercu burzy. Jakbym słyszała, jak napinają się jedna za drugą jej nici, wydając kryształowo czysty dźwięk, bo nie dają już rady powstrzymać ciągle narastającego nacisku.

Dwadzieścia.

Zresztą, szybciej upuściła bym miecz. Lewą rękę musiałam mieć wolną.

Melodyjne słowa układały się w formułę, a ta obrastała realnym kształtem zaklęcia, wciągając ściśle wyliczoną moc. W ten sposób łucznik wykonuje strzałę — struga drzewce, umieszcza i przytrzymuje wyszczerbioną nasadkę, dokładnie napina pośladki ... i spuszcza cięciwę.

Dziesięć.

On chyba nie zrozumiał, tego co właśnie zrobiłam, ale nawet martwy smok miał wystarczające zdolności, aby wyczuć skierowaną przeciwko niemu magię. No i oczywiście, to się mu nie spodobało.

Stworzenie przywarło do ziemi, rozdziawiło paszczę i zobaczyłam, jak w jej wilgotnej głębi zaczyna się gotować i rozrastać naprzeciwko mnie kłębiąca się grudka mirażu.

Ale chwilę wcześniej strzała znalazła cel. Raczej, cel przyciągnął strzałę, na chwilę błysnąwszy szmaragdowym płomykiem z tyłu smoczej głowy.

Opuściłam głowę i nabrawszy trochę więcej powietrza, rzuciłam się naprzód. Wokół ciała, purpurowym kokonem wybuchł wywołany od zetknięcia się z celem płomień.

Jeśli on zdąży zrobić drugi wydech, nic już nie zdążę zrobić.

Nie mogłam dostrzec, gdzie kończy się ten nieprzenikniony potok i zaczyna się właściwie smok, pozostało więc tylko liczyć stawiane na oko kroki, żeby z rozpędu całkiem nie minąć gada.

W ostatniej chwili ostro szarpnęłam się bok i obiema rękami uczepiwszy się rogowych narośli po obu stronach smoczycych szczęk, jednym rozpaczliwym zrywem siadłam okrakiem na łuskowatej szyi. „Salamandra” przeobraziła się w dymiący się kopeć, równą warstwą pokrywając mnie od stóp do głów. Siedzenie, dziwne ale, okazało się całkiem wygodnie, nawet przytulnie — jednej z płyt grzebienia nie było, dwie sąsiednie spełniały rolę przedniego i tylnego łęku, a pod nogami znalazły się nastroszone łuski, w zupełności nadające się na strzemiona. Od stworzenia niósł się ledwie wyczuwalny zapaszek rozkładu, jemu już dawno należało coś przekąsić albo wrócić do jeziora i nasiąknąć magiczną mocą.

Zdumiony smok utkwił wzrok w martwym punkcie przed swoją mordą, na wszelki wypadek nawet uderzył go przednią łapą. Potem poczuł coś niedobrego, wykręcił szyję i podskoczył z oburzenia.

Przejawiając czarny humor, pomachałam mu ręką.

Nie można powiedzieć, żeby smok ucieszył się z okazanej mu ten sposób uwagi. Podskoczywszy na sążeń, gad zaczął wywijać po polanie, jak mysz na rozgrzanej patelni. Zdrapać mnie łapami nie mógł, ogonem także nie mógł dosięgnąć, a ogniem pod takim kątem nie mógł we mnie plunąć. Ale kto powiedział, że nie próbował?!

Kurczowo trzymając się rękami, rozbieganym wzrokiem wodziłam po jego potylicy. Niewiadomo gdzie, może, trochę wyżej i bardziej na lewo.. Aha!

Cztery samorodne kryształki, rozmiaru małego palca, zebrane razem na podobieństwo kwiatu z jednym wypadniętym płatkim. Prawie zlewające się barwą z łuską, ale z rzadka dyskretnie pulsujące niebieskawym światłem. Szafiru? Turkusu?

Uniósłszy się w „strzemionach”, prawie mogłam dosięgnąć do nich ręką. I niemal mi się udało, gdy nagle smok chlasnął skrzydłami i wzbił się w powietrze.

Nie mogłam powiedzieć, żeby to okazało się dla mnie takim wielkim wstrząsem. Kilka razy toczyłam się na smokach — prawda jest jednak taka, że wtedy właściwie mnie wożono, a nie próbowano strząsnąć. Jadąc wierzchem na tak dużej istocie, czujesz się bardziej bezpieczna, aniżeli na takiej miotle, gdyż ona nie może manewrować z szybkością wrony. Nawet zaczynało mniej trząść a rozmyte skrzydła i ciemność ukrywały przede mną oddalającą się szybko

ziemię.

Moja ręka zamarła w odległości jednej piędzi<sup>15</sup> od celu. Leszy tylko wie, co to za amulet! A jeśli na amulet jakiś mądrała, taki jak ja, położył ochronne zaklęcie? Albo, jeszcze gorzej, amulet nie daje smokowi w spokoju spoczywać na dnie jeziora w zgodzie z aksjomatem Oleszera? Bez niego gad natychmiast skorzystałby z okazji bulnąć do jeziora nie wiadomo z jakiej wysokości?

Amulet ponownie zapulsował. Ale w odwrotnym kierunku, nadchodzący skądś z zewnątrz. Zewnętrzny końce kamieni wyraźnie rozbłysły, smużki płomyków zbiegły się do jednego punktu i jak gdyby wsiąkły w środek amuletu.

Smok zadrżał. Drżenie ustało, stworzenie wyrównało lot i zawisło w powietrzu, miarowo podnosząc i opuszczając skrzydła. Powoli obróciło w moją stronę głowę, zimno i pogardliwie zmrużyło rozumne, żyjące oczy.

„To znowu ty, wiedźmo! Strasznie mi się już sprzykrzyłaś...”

Nie zdążyłam się zdziwić, gdy poczułam, że między nami zaczyna gęstnieć już nie płomień, lecz magia. Silna, mroczna i zła, współzawodniczyć w której z wyraźnie zabezpieczonym przed zranieniem smokiem, było jeszcze mniej efektywne, niż z krzykiem „sio!” machać na niego ręką.

Długo się nie namyślając, wczepiłam się w amulet i z całych sił pociągnęłam.

Wyszedł niespodziewanie lekko, od pierwszego szarpnięcia — cienki drut z czarnego metalu, o długości dwóch piędzi. Palił dłoń, a w następnej sekundzie stał się zimniejszy od lodu.

Zapach rozkładu nasilił się gwałtownie.

Cudzy rozum z nienawiścią i rozpaczą zaczął miotać się w martwym ciele, ale utrzymać go samą siłą woli nie był w stanie.

Oczy zgasty. Smok konwulsyjnie wygiął się, ledwo nie złożywszy się wpół, potem zwiotczał i runął w dół, jednocześnie spadając na plecy. Nie życzyłam sobie stworzyć z nim kompani, przedkładając indywidualny pomnik od niejasnego określenia: „A tutaj oto, u nas smok wiedźmę na placek rozgniół, tak i nie odkopali!” I, zapałszy się nogami, z całych sił odepchnęłam się i skoczyłam gdzieś w bok.

Cios przyszedł w lewą skroń. Przyniosła go ziemia, a nie woda, zagadnienie wesela rozwiązało by się samo. A tak mi „zaledwie” zrobiło się ciemno przed oczami, chrupnęło w szyi i z przerażeniem poczułam, że tracę świadomość...

... Nie pamiętam, jak wynurzyłam się i dotarłam do brzegu, ale ostatecznie oprzytomniałam już na nim. Obok, przygarbiwszy się, siedział czarny, krępy

---

<sup>15</sup> Piędź – dawna jednostka miary <http://pl.wikipedia.org/wiki/Pi%C4%99d%C5%BA>

pies. Z jego brody i oklapniętych koniuszków uszu kapiała woda. Pochwyciwszy moje stosunkowo przytomne spojrzenie, niespodziewanie otworzył szeroko paszczę i w uśmiechu wywalił jęzor, zerwał się i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, pobiegł truchtem do wody. Zatrzymał się na skraju jeziora, westchnął z poczuciem szczęścia, zanurzył mordę w wodzie i... zaczął bezdźwięcznie ściekać w nią, przeobrażając się w czarne, śliskie stworzenie.

Odzwierny wrócił na swoje legalne miejsce.

Podniosłam do oczu rękę, w której przez cały czas trzymałam zaciśnięty w pięści amulet, przyjrzałam się i z nerwowym chichotem znowu ją opuściłam. Brakowało jednego kamienia, w oprawie zostało puste gniazdo z rozgiętymi zębami, i mogłam przysiąc, że właśnie ten jeden odpowiadał za bezgłośny wylot smoka z jeziora. Magowi dobrze poszczęściło się z tutejszymi niewdzięcznikami, inaczej już dawno temu ujawniliby oni jego stworzenie i zniszczyli.

— Z tobą wszystko w porządku?! — Welka z rozmachem rzuciła się na kolana, obok mojego, z dużym prawdopodobieństwem żywego ciała.

— T-tak, — niepewnie potwierdziłam, nie śpiesząc się wykonać jakiegoś ruchu, żeby potem nie móc przekonać się z powrotnym, że jednak nie wszystko ze mną w porządku. Smok nie trafił w jezioro, rozciągnąwszy się na grzbiecie wzgórza — jedno skrzydło było przygniecione bokiem, drugie bezwładnie zwisało z brzegu pustelni. — Wel, obiecaj mi jedną rzecz...

— Jaką? — uczynnie zareagowała zielarka, pomagając mi usiąść.

— Kiedy następnym razem zamyślisz kopać swoje łopiany, udamy się po nich na głuchy, bezludny, aż rojący się od upiorów cmentarz... tak się stęskniłam za lekką i spokojną pracą!

\* \* \*

Starosta statecznie, jak gospodarz obszedł naokoło smoka. Rzeczowo kopnął nogą w zwiotczały bok, najpierw przekonawszy się, że między nim a łbem smoka są inni kandydaci do podsmażania — zielarka z potężnym otoczakiem w ręce, która przysiadła na kolanach obok uchylonej paszczy i ruda wiedźma, przy świetle czarodziejskiego płomyka badająca jakąś bierkę z kamyczkami. „Pewnie ze smoczycich zasieków capnęła, — z zawiścią pomyślał starosta — trzeba by je spławić stąd jak najszybciej, dopóki jeszcze czegoś nie świsnęły. Smok, oczywiście, strasznie pazerny, jednakże wiedźmy jeszcze bardziej chciwe!”

Zielarka odłożyła kamień, wyprostowała się i z wysiłkiem zarzuciła na

ramię mocno wypchaną torbę.

— Cóż, Wolha, z nawiązką odpracowałaś swoje dwadzieścia kładni! Prawda, starosto?

— Jakie kładnie? — sztucznie zdziwił się chłop. — Rzeczywiście, a do czego tu wiedźma? A owszem, pomogła troszeczkę... wspólnie. Prawda, dzieci?

Gdyń z dryblasem pokiwali głowami, ale każdy inaczej, poczym z aprobatą chrząknęli.

Zielarka straciła oddech z oburzenia:

— A wy co zrobiliście, a?

— Wszelako smok, on przecież tego... — Starosta w skupieniu wyteżył umysł i rozpromienił się: — Połknął kozi łeb, a on mu rogami w poprzek gardła stanął, w ten sposób gada i śmierć dosięgła!

— A mówiliście — nie przyda się... — nieśmiało odezwał się Gdyń.

Zielarka spojrzała na niego w tak „czuły” sposób, że setnik, podskakując na jednej nodze, pośpieszył się schować się za szerokimi plecami dryblasa.

— Ach wy, złodziejaszki! Tak ja wam...

Ale wiedźma spokojnie wsunęła błyszczące cacko do kieszeni, pociągnęła przyjaciółkę za rękaw i z wyrzutem pokiwała głową:

— Przestań, Wel, niezbyt mi i chciało się, za nieszczęsne dwadzieścia kładni... Otóż za sześćdziesiąt to bym jeszcze i zastanowiła się!

Zielarka i chłop tak samo się zmieszali. „Naprawdę, niespełna rozumu”, — z lękiem i jednocześnie z ulgą pomyślał starosta.

— Tak więc my... tego... tratwę pójdziemy wziąć, — spróbował rozładować sytuację Gdyń. — Jak raz do świtu zdążymy... — I przypochlebnie dodał: — Zwłaszcza, jeśli Pani wiedźmia z życzliwości poczarować raczy...

— Nie ma problemu. — Wiedźma wzruszyła ramionami.

Zielarka nadal patrzyła na nią z otwartymi ustami.

— Może. Trzeba było jej chociaż parkę monet dać, a? — niepewnie zaburczał pod nosem pełny skrupułów dryblas, bokiem przełaząc przez przepaloną przez smoka dziurę w ogrodzeniu. — Łeb to ona zdobyła i to ją smok przypiekl — kto nie da, czystym kołtunem będzie!

— Może i damy, — łaskawie zgodził się starosta. — Wy we wsi to języków szybko nie rozpuszczajcie, jutro z rana my tutaj wrócimy i „szukaczami” w jeziorze poszperamy — zobaczysz, jeszcze i smocze dziedzictwo wyłowimy. A wtedy wiedźmie szczerze jakiegoś srebrnika i odżałujemy!

Woda w jeziorzku poruszyła się, grzywkami fal połaskotała brzegi. Ale, jak zawsze, przemilczała.

\* \* \*

— Wolha, co ci się stało?! — naskoczyła na mnie Welka, kiedy trójca znikła z widoku.

W zamyśleniu przyglądałam się swoim krwawiącym, obtartym smoczą łuską dłoniom. Szyja bolała, w uderzonej skroni pulsowała krew, rozlewając się siniakiem na całym policzku.

— Wel, możesz to zaleczyć? Po prostu strasznie boli mnie głowa, w żaden sposób nie mogę się skoncentrować...

— Oczywiście — zreflektowała się zielarka, pociągając za torbę. — Ale... Wolha, czy ty naprawdę puścisz im to płazem?! A oni przecież teraz cały rok po wsi będą chodzić jak bohaterowie, wszystkim opowiadać, jak smoka gołymi rękami pokonali i wiedźmę na dudka wystrychnęli!

— Welka. — Wreszcie podniosłam na przyjaciółkę wzrok i rozplynęłam się w szerokim, z wysiłkiem powstrzymywanym przez ostatnie pięć minut uśmiechu. — Dwadzieścia kładni nie jest warte tego, żeby brać na siebie odpowiedzialność za przemianowanie nazwy wsi na Duże Zaduchowieje. A sześćdziesiąt to on nam sam jutrzejszego wieczoru przyniesie, jakim Najwyższa Wiedźma Dogewy! Gwarantuję — że takiego „sprzyjającego” wiatru i pachnącego smoka ta wieś jeszcze nie widziała ani i nie wahała...

\* \* \*

## KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

**Słowianie nie gęsi, swoją mitologię mają!**

**Przekonaj się sam jak najpotężniejsi potomkowie słowiańskich bóstw radzą sobie we współczesnym Gdańsku i Warszawie. Zajrzyj na <http://elemental.fan-dom.pl> lub odwiedź świat [Smaragdowej Tablicy](#) na [Facebook'u](#).**

**Jeśli fascynuje Cię mitologia wszelakiej maści, alchemia i przygodowa, niezobowiązująca fantastyka to Smaragdowa Tablica jest opowieścią właśnie dla Ciebie!**